Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK • NR. 26

Tomasz Stanisław Wolski

admirał floty papieskiej

W roku 1739 wydaną została we Lwowie spora książka, zredagowana w języku łacińskim, a należąca dzisiaj do białych kruków bibljograficznych.

Zaciekawiała ona już samym swym tytułem, nieco przydługim, który w przekładzie z oryginału łacińskiego brzmi jak następuje:

„Świetna pielgrzymka Jerozolimska obszerniej rozciągniona po trzech znaczniejszych częściach świata, opisana przez Tomasza Stanisława Wolskiego, szlachcica polskiego, pielgrzyma Jerozolimskiego, w szczególności przez Europę, Azję i Afrykę, w których liczne przewędrował królestwa barbarzyńców i niewiernych, tak na stałym lądzie jak i na morzu istniejące oraz zwiedził niezliczone wyspy, jako to na Morzu Śródziemnem, Białem, oraz na Archipelagu, na Oceanie Zachodnim etc. etc."

Na wstępie tego dzieła zamieszczona jest krótka notatka o urodzeniu i latach młodzieńczych autora książki i bohatera zarazem tych przygód. Notatka, skreślona ręką innego, bezimiennego autora.

Zkolei opisuje sam Wolski swe przeżycia i przygody, naprawdę niezwykłe, przypominające jakiś sensacyjny dzisiejszy „roman d'avantures".

Zajmijmy się tedy bliżej tą niezwykłą postacią polskiego podróżnika z XVIII. wieku, kawalera Maltańskiego i admirała floty papieskiej.

* * *

Pochodził Tomasz Stanisław Wolski ze zacnej i możnej szlacheckiej rodziny. Po przodkach swych odziedziczył fantazję szlachecką, szczerą pobożność i żyłkę do włóczęgi po szerokim świecie, w poszukiwaniu niezwykłych wrażeń.

Toż jeden z protoplastów jego, Mikołaj, wielki marszałek koronny za Zygmunta III. zdobył sobie przydomek „perpetuus viator" (wiekuisty podróżnik), dzięki swym ciągłym wędrówkom po obczyźnie!

Urodzony w roku 1700 w Uniejowie, w ziemi Sieradzkiej, wcześnie opuszcza Tomasz dom rodzicielski, gnany żądzą nauki i wyższego wykształcenia. Po jednorocznym pobycie na dworze senatora Jana Czapskiego, zniechęcony intrygami dworaków, — puszcza się w świat daleki.

Jako trzynastoletni chłopiec wędruje nad brzegi Niemna, skąd częściowo łodzią, częściowo pieszo lub na wozie zwiedza kolejno Pragę, Ratyzbonę, Monachjum, Tyrol, Wiedeń i Wrocław.

Z niezwykłą, jak na taki młody wiek bystrością robi podczas tej wędrówki trafne spostrzeżenia i uwagi nad obyczajami i zwyczajami różnych nacyj i ich politycznym ustrojem.

Wraca następnie do Warszawy, celem uzupełnienia swego wykształcenia, najpierw w szkole Jezuitów, następnie zaś w konwikcie Pijarów.

Niezwykłe zdolności, pilność i pracowitość młodego Tomasza zwróciły nań uwagę wielu znakomitych mężów. Zainteresował się młodzieńcem szczególniej krewny jego Jan Nestorowicz, kasztelan brzeski, który wstawił się za nim do Augusta II. i zaopatrzył go w listy polecające. Usłyszawszy zaś, że młody chłopak marzy o odbyciu pielgrzymki do Ziemi Świętej, dał mu potrzebne na tę podróż pieniądze.

Tutaj rozpoczyna się niezwykła epopeja naszego śmiałego podróżnika.

* * *

Objeżdża najpierw Toruń, Grudziądz, Gdańsk, — poczem — z uwagi na spóźnioną porę roku wraca do Warszawy, a następnie przez Kraków, Raciborz i Ołomuniec udaje się do Wiednia.

W Wiedniu niedługo zabawił; dalsze etapy jego wędrówki, to Neukirchen, Bruck, Graz, Tryest i Wenecja. Przewędrował całe północne Włochy, aż wreszcie dobił do Wiecznego Miasta, gdzie przebył cztery miesiące, zwiedzając wszystkie zabytki chrześcijaństwa, bazyliki, pałace i słynne budowle.

Przed wyruszeniem w pielgrzymkę do Ziemi Świętej uzyskał błogosławieństwo od Ojca Św., poczem popłynął na okręcie francuskim do Malty, a stamtąd do Tripolis. Koło wyspy Cerygo zaskoczyła ich burza, Wolski z siedmioma towarzyszami z trudnością dostał się do brzegu. Po trzech dniach pobytu na wyspie dostali się na przepływający tamtędy okręt wenecki.

W odległości 12 mil od Sydonu zaatakowali okręt rozbójnicy morscy. Wywiązała się krwawa walka, w wyniku której Wenecjanie próbowali ratować się ucieczką na swym uszkodzonym okręcie.

Na próżno Wolski starał się odwieść kapitana okrętu od tego zamiaru. Tymczasem korsarze puścili się w pogoń za uciekającymi — i wkrótce oba okręty zbliżyły się do siebie.

Wówczas Wolski, z odwagą i prawdziwie szlachecką fantazją, zaczepiwszy się hakami o pokład okrętu korsarskiego, na czele stu pięćdziesięciu zbrojnych Wenecjan wpada na pokład, niebaczny na grad padających kul. Zachęceni jego przykładem Wenecjanie walczą po bohatersku. Rozbójnicy częściowo składają broń, częściowo ratują się ucieczką na spuszczonych pospiesznie łodziach. Tylko wódz ich nie ustępuje: korzystając z zamętu spieszy ze swym oddziałem pod pokład, by wymordować znajdujących się tam jeńców chrześcijańskich. Krzyki mordowanych dosłyszał Wolski. Spieszy tedy bezwłocznie na ratunek, a zetknąwszy się z wodzem korsarzy, zabija go na miejscu. Reszta rozbójników poddała się zwycięscy. W ten sposób ocalono życie blisko stu francuskich jeńców.

* * *

Nazajutrz spotkano dwa okręty francuskie płynące do Sydonu. Wolski, witany salwami dział jako zwycięzca, obejmuje dowództwo jednego okrętu. Podpłynięto pod Sydon i miasto to, po parotygodniowem oblężeniu, otworzyło zwycięzcom bramy.

Dnia 12. kwietnia 1726 przybył Wolski do Jerozolimy, gdzie zetknął się z polskim misjonarzem, ks. Krusińskim, który po 18 latach swej pracy misjonarskiej powracał z Persji do Europy.

W jego towarzystwie zwiedził Wolski Ziemię świętą, poczem wybrał się w drogę powrotną.

Tu znów spotyka go niezwykła przygoda: w pobliżu Jerozolimy pielgrzymi zostali nagle napadnięci przez bandę Arabów. Mała garstka zaledwie zdołała ratować się ucieczką. Pozostali albo zginęli w walce, albo dostali się do niewoli. Wśród tych ostatnich znalazł się i Wolski.

W czasie postoju nocnego jeńcy zdołali poprzecinać więzy i uciec, podpaliwszy poprzednio namioty celem wzniecenia popłochu. Dostali się szczęśliwie do miasteczka Rama. Tam Wolski udał się do gubernatora i przedstawił mu całą sprawę, — poczem otrzymawszy do dyspozycji znaczniejszy oddział wojska urządził ekspedycję karną na arabskich bandytów.

Po wędrówce przez Egipt dostał się wreszcie w grudniu 1726 r. do Rzymu. Przyjęty na posłuchaniu przez Ojca Św., opowiedział mu wszystkie swe przygody i przeżycia — i odznaczony został złotym krzyżem, nadawanym Kawalerom Grobu Chrystusowego oraz obdarowany cennemi relikwjami.

* * *

Następnych parę lat spędza Wolski na wędrówce po Europie zachodniej Francji i Anglji. Po krótkim pobycie w Belgji wraca ostatecznie do Rzymu, gdzie go papież Benedykt XIII., gotujący się właśnie do wojny z Turcją, mianuje admirałem floty papieskiej.

W roku 1730 odpływa Wolski z Rzymu. Na morzu Śródziemnem odnosi wspaniałe zwycięstwo nad nieprzyjacielem, poczem, połączywszy się z innemi okrętami książąt włoskich, oczyszcza morze od grasujących korsarzy i podpływa pod Konstantynopol. Turcy, uwikłani wówczas we wojnę z Persją, słaby zaledwie stawiali opór.

Ze śmiercią Benedykta XIII. zakończyła się wojna z Turcją. Następca jego, Klemens XII. nakazał flocie płynąć ku Indjom.

Wolski znów znajduje okazję do wsławienia się i oddania wielkiej przysługi całemu chrześcijaństwu, — uwalniając z okrutnej niewoli muzułmańskiej Józefa III., patrjarchę babilońskiego i chaldejskiego.

* * *

Syt sławy i tryumfów wrócił Wolski przez Rumunję i Bułgarję do ojczyzny. Gości przez pewien czas we Lwowie, gdzie właśnie był liczny zjazd dygnitarzy z okazji wesela podczaszego królewskiego Rzewuskiego z Potocką. Na weselu tym był między innymi i patrjarcha Józef III., który Wolskiemu zawdzięczał wolność i życie.

Następnie jedzie do Warszawy, przyjmowany z honorami jako głośny podróżnik i dostojnik papieski.

Sylwetkę jego kreśli Seweryn Moszczeński w swym pamiętniku:

„Znałem pana Wolskiego, pielgrzyma, który wstępował do ojca mego. Ubrany był w żupanie aksamitnym czarnym, krzyż na lewym boku czerwony podszyty lamą srebrną, na butach krzyże haftowane, przy płaszczu na srebrnym łańcuszku koncha morska zawieszona, pas czerwony, za tym paciorki i w ręku laska pielgrzymska wysoka i ten w takim ubiorze prezentował się ozbojgu królestwu".

W roku 1733 jedzie Wolski znowu do Rzymu, z listami ks. Korybuta Wiśniowieckiego do Papieża. Z rozkazu Klemensa XII. odbywa wjazd uroczysty, wiozącnatriumfalnym wozie uwolnionego przez siebie patrjarchę Józefa III., co zostało ze wszystkiemi szczegółami uroczyście wpisane do aktów papieskich.

Przyjmują go z wszelkiemi honorami należnemi admirałowi floty papieskiej, — co więcej, Ojciec Św. obdarowuje go kosztownym pałaszem, wysadzanym drogiemi kamieniami, ze złotym napisem:

Pro fide, Rege et Christi grege.

* * *

W Rzymie zatrzymał się Wolski przez rok cały, potem wyjechał do Wiednia. W roku 1735, gdy Węgry zaatakowane zostały przez Turków, — Wolski, niezłomny rycerz i obrońca chrześcijaństwa, formuje hufiec zaciężny i spieszy im z pomocą. Walczy bohatersko, świecąc przykładem. Nad rzeką Raab zaatakował pięćkroć silniejszego nieprzyjaciela, rozbijając go w puch.

Z ukończeniem wojny węgierskiej Wolski znika z widowni. Nieznane nam są jego dalsze koleje życia. Jedni utrzymują, że zmarł we Wiedniu w r. 1736. naskutek odniesionych ran.

Natomiast wspomniany już powyżej Moszczeński opowiada w swym pamiętniku, iż...

„Wolski, któren był frant wielki i zapalonej głowy, uroił sobie prowadzić wojnę przeciw barbarzyńcom. Zebrawszy znaczne pieniądze, wybudował sobie fregatę i nająwszy kapitana podobnego sobie awanturnika i majtków, zawiesiwszy banderę hiszpańską, popłynął atakować Algierczyków. Ta okoliczność ledwie wojny nie zrobiła między Hiszpanją i Algierem. Wolski ze swoim statkiem umknął do portu papieskiego, gdzie mu skonfiskowano fregatę, a osobę uwolniono na instancję królowej z jakąś niewielką za statek nagrodą".

Potwierdzenia tych informacyj nie znajdujemy jednak w innych źródłach, ani też we wzmiankowanym pamiętniku Wolskiego.

(R.)

Faubourg Saint-Germain za Napoleona

Bonaparte, człowiek starego reżimu i jak o sobie mawiał „drobny szlachcic", zachował przez całe życie poszanowanie dla szlachty i słabość do wielkich nazwisk monarchji. Będąc panem Europy, troszczy się nieustannie o stan umysłów tych, których nazywano „faubourg Saint-Germain", lub poprostu „Faubourg". Powracając ze swych zwycięstw do Paryża zapytywał niemal natychmiast:

— Co mówią o mnie w Faubourg?

Opinja tej oazy starej Francji, pozostającej we Francji cesarskiej w roli świadka i sędziego, znaczyła dla niego więcej, niż opinja szerokich mas. Niektórym wydawała się ta troska śmieszną. Ci jednak nie zdawali sobie sprawy z rzeczywistej roli, jaką odegrała w ciągu całego Cesarstwa ta nieliczna — bo może sto rodzin licząca — grupa ludzi. Spojona ze sobą licznemi związkami małżeńskiemi zjednoczona we wspólnym żalu za przeszłością i pogardzie dla teraźniejszości w nadziejach, do których przyznawano się jedynie między sobą, ale które pozostawały niemniej żywotnemi, stanowiła ta grupa ludzi rzeczywiste i jedyne centrum opozycji w trjumfującem cesarstwie.

Opozycja, dyskretna w latach rozkwitu Cesarstwa, wzmacnia się i zaostrza w chwili pierwszych niepowodzeń, by po upadku Napoleona rozwinąć silną i brzemienną w skutki działalność. Konsekwencją tej działalności jest powrót Bourbon'ów w momencie, w którym Francja i jej aljanci, jakgdyby o nich zapomnieli Faubourg Saint-Germain był tym czynnikiem, który przygotował i umożliwił Restaurację. On także, dzięki nieznajomości głębokich uczuć narodu, poprowadzi go w piętnaście lat później do upadku.

* * *

Już za Konsulatu otworzyło się kilka salonów: markizy de Montesson, pani de Genlis, pani de la Briche księżnej de Vaudemont.

„Wielkim urokiem tych zebrań — mówi Pasquier — była wyrozumiałość i zupełna swoboda, jakie tam panowały; radość odnalezienia się umilała wszystko, łagodziła odcienie i różnice w zapatrywaniach, których nie przebaczonoby sobie nigdy przed 1791..."

Rozmawiano oczywiście o dawnych, dobrych czasach, ale także i to głównie wydrwiwano rząd i układano uszczypliwe epigramy na parwenjuszy rodziny i dworu konsula.

Napoleon, który chciał skupić w swem ręku wszystkie rozprószone siły dawnej Francji, przywołał emigrantów masowo. Żywił nadzieję, że mu się uda pogodzić ich z nowym stanem rzeczy. Niejednokrotnie za pośrednictwem Józefiny ofiarowywał im ważne stanowiska w sądownictwie, w armji, lub w administracji. Wielu przyjmowało. Ujrzano panią de La Rochefoucauld w roli zarządzającej domem cesarzowej. Panie de Montmorency, de Mortemart, de Talhouet, de Béarn, de Turenne, panowie de Contades, de Noailles, de Gontaut, de Beavau pojawili się w Tuilerjach. Hrabia de Ségur zostanie wielkim mistrzem ceremonji, a szlachetna hrabina de Montesquiou — guwernantką króla Rzymu.

Cesarz wyróżniał tych nawróconych, schlebiał im i obsypywał łaskami. Za małemi wyjątkami nie byli mu wdzięczni. Swoją drogą, apodyktyczny ton cesarza i jego niedoskonałe maniery raziły tych ludzi z dobrego towarzysytwa, wychowanych w atmosferze wykwintnej kultury. Posiadając mało ogłady, Napoleon nie czuł się dobrze w salonie, wydawał się wymuszonym i bez wdzięku. Nie umiejąc rozmawiać z kobietami, traktował je często bezwzględnie, narażając się na cięte riposty, których zresztą — poza nielicznemi wyjątkami — nie brał im za złe.

— I cóż, proszę pani — powiedział do księżnej de Fleury, słynącej z swobodnych obyczajów — czy zawsze pani lubi mężczyzn?

— Mój Boże, tak jest, Sire — odrzekła — o ile są dobrze wychowani.

Mianował damą pałacową panią de Chevreuse. Ta księżna o mocno niepowściągliwym języku nie lubiła Napoleona i wcale się z tem nie kryła. Wnuczka księżnej de Luynes, której salon służył za punkt zborny najzagorzalszym rojalistom, przyjęła ten zaszczyt ogromnie niechętnie i mściła się zań z impertynencją, niepozbawioną odwagi. Nieraz, po słownej utarczce z księżną podczas przyjęć dworskich, żegnając się z nią, Napoleon mawiał:

— Przezwyciężyłem już antypatię księżnej de Chevreuse.

Ale sam w to nie wierzył, zarówno jak nikt z jego otoczenia.

Pewnego dnia, na wielkiem przyjęciu w Tuilerjach pochwalił jej toaletę. Znaną była jego manja, jakoby się doskonale znał na strojach. Księżna przybrała swój charakterystyczny, wyniosły tonik, przed którym drżeli jej przyjaciele.

— Bardzo pani do twarzy w tej sukni — powiedział jej Napoleon. — Wygląda pani wspaniale. Co za szkoda, że pani jest ruda!

Pani de Chevreuse wachlowała się wolno. Patrząc cesarzowi prosto w oczy, odpowiedziała:

— Ruda? Czy być może, najjaśniejszy panie? Żaden mężczyzna mi tego nigdy nie powiedział...

Cesarz odszedł, wzruszywszy ramionami. Wkońcu miał tego dość. Kiedy wywłaszczeni król i królowa Hiszpanji przybyli do Francji, pani de Chevreuse została wyznaczona wraz z kilkoma innemi paniami do przyjęcia ich w Compiegne. Odmówiła zuchhwale, mówiąc, że „wystarczy chyba, że jest niewolnicą, nie będzie w dodatku katem". Te słowa, powtórzone w faubourg Saint-Germain zrobiły duży efekt. Napoleon wygnał księżnę z Paryża.

* * *

Ażeby wiedzieć, co mówią w Faubourg — opowiada p. Jules Bertaut — Napoleon dawał pani de Genlis 6.000 franków rocznie, a ta posyłała mu regularnie raporty o stanie umysłów arystokracji, zbierającej się w jej salonach. Dama ta, zachwycona rolą, z dwuznaczności której nie zdawała sobie sprawy, powtarzała cesarzowi bez ogródki „powiedzenia najbardziej obraźliwe, krzywdzące i pełne nienawiści". Te, które otrzymał nazajutrz po bitwie pod Austerlitz, przyprawiły go o gniew najstraszliwszy. W tym czasie nastał poważny kryzys finansowy: Paryż skarżył się głośno, a dzielnice, leżące na lewym brzegu rzeki lżyły rząd cesarski najostatniejszemi wyzwiskami. Pani de Genlis z całym cynizmem powtórzyła zasłyszane rozmowy i zdradziła nazwiska głównych opozycjonistów.

Cesarz zerwał się bardzo blady na myśl o tem upokorzeniu i chodził tam i napowrót w największem rozdrażnieniu:

— Ach! im się zdaje, że są silniejsi odemnie, tym panom z fauborg Saint-Germain!... Zobaczymy!... Zobaczymy!..

Nazajutrz, wespół z Fouché chciał wygotować listę wygnańców z krytykującemi na czele: paniami Récamier, d'Avaux, de Tourzel, de Chalons, des Cars, z których ostatnia miała się w kilka dni później wsławić wrzuceniem do ognia biuletynu, donoszącego o zwycięstwie pod Austerlitz...

Uspokojono go z trudem. Ale przez długi czas żywił głęboką urazę.

Jedną z najpoważniejszych przyczyn niechęci Faubourg do cesarza, było powołanie do wojska pewnej liczby młodych ludzi z arystokracji. Adrjan de Mailly, jedyny syn marszałka, straconego podczas Terroru na gilotynie został wcielony do armji w siedemnastym roku życia. „Odbył kampanję rosyjską, w której się odznaczył odwagą i w czasie odwrotu zpod Moskwy został ranny. Cesarz uratował mu życie, pozwalając na umieszczenie go w jednym z powozów swojej świty. Nie chciał, by wygasł wielki ród Francji".

Alexis de Noailles, który popadł w niełaskę za narobienie zawielkiego hałasu na balu maskowym u pani du Cayla, otrzymał mianowanie na podporucznika, z równoczesnym rozkazem natychmiastowego stawienia się w pułku. „Oświadczył, że nie chce i nie będzie służył cesarzowi. Pojmano go i odstawiono do więzienia. Opierał się w dalszym ciągu. Wkońcu zmęczony tą wojną cesarz, kazał go wypuścić na wolność".

— To jeden z niewielu ludzi, jakich znałam, którzy się oparli woli Napoleona — mówi pani de Boigne.

* * *

Faubourg miał swojego wielkiego człowieka w Chateaubriand'zie. Przyczynił się on niemało do wrogiego nastawienia arystokracji w stosunku do Napoleona. Z prawdziwem mistrzostwem odgrywał rolę genjusza, prześladowanego przez despotyzm. Przed prześcigającemi się w uwielbieniu paniami de Duras, de Lévis i de Béranger odczytywał „Ostatniego z Abencérages'ów" oraz fragmenty z późniejszych „Pamiętników zpoza grobu".

W gruncie rzeczy, nie lubiąc go, Napoleon żywił dla niego szacunek. Ze swej strony, Chateaubriand rozumiał dobrze, że Napoleon przewyższał stulecie. Faubourg Saint-Germain, zagarnąwszy pisarza, nie dopuściło do zbliżenia, do którego może — bez tej interwencji — popchnąłby go wkońcu jego głęboki kult dla wielkości.

Tę opozycję umysłów, której jako takiej nie mógł nigdy zwalczyć, odczuwał Napoleon zawsze z bólem i irytacją. Nie mógł zrozumieć, by tyle zwycięstw, tyle mocy i tyle chwały nie znalazło drogi do kilku salonów, uzbrojonych w pogardę. Na Świętej Helenie będzie o tem mówił z goryczą do Gourgaud'a. Zabrakło mu czasu, by spoić dawne społeczeństwo z nowem. Jeszcze kilka lat, a może przy pomocy małżeństwa z Marją Ludwiką udałoby mu się ugasić to uporczywe zarzewie niechęci. Ale koniec przyszedł zaprędko. I przypiąwszy 30 marca białą kokardę, faubourg Saint-Germain dopomógł Tayllerand'owi w obaleniu uzurpatora.

M. O.

Jerzy Bizet

(1838 - 1875)

Młodociany, bo zaledwo 20-letni Bizet, znalazłszy się na gruncie Rzymu, przejęty tchnieniem tego od półtrzecia tysiąca lat ściśle z dziejami rodu ludzkiego złączonego grodu, doznał pierwszy raz w życiu silnego przeistoczenia wewnętrznego. — Trudno zaiste, aby dusza artysty, tak silnie reagująca na wszystko, co piękne, zdołała się oprzeć przedziwnemu czarowi, wypływającemu z ruin dawnej świetności. Bo przecież nie gdzieindziej, tylko tam, odnajdujemy zarówno skamieniałą duszę jowiszowej Romy, jak najokazalsze przybytki chrześcijańskiego świata!

Pod wpływem Wiecznego Miasta poczuł się Bizet odrodzonym, a mając przed sobą najwspanialsze poematy architektoniczne i malarskie, powstałe na gruzach świata pogańskiego, doszedł do wniosku, że jest tylko „jedna, wielka, wzniosła sztuka" niezależnie od tego, w jaki sposób się objawia: na płótnie, w marmurze, czy też zapomocą dźwięków. Z rozważań tych wypłynął cały szereg myśli porównawczych. Z jednej strony stanął mu żywo przed oczyma Michał Anioł przystępujący, jak Herkules, do nieśmiertelnych swoich czynów. Z drugiej strony duch-olbrzym Ludwika Bethovena obcującego z nieprzejrzaną potęgą rozkłębionych tonów. Przecudną harmonję barw, świateł i linji, które cechowały Rafaela, jak również intuicyjne ujmowanie przezeń różnych indywidualności odnalazł także w dziełach Mozarta, i jak sam pisał wówczas do swoich przyjaciół „dotarł w Rzymie do słodkiego obcowania z genjuszami".

Nie pozostało to bez wpływu na młodego kompozytora, w którego duszy drgnęły nieznane dotąd duchowe zasoby...

* * *

Będąc synem paryskiego nauczyciela śpiewu, od najmłodszych swoich lat uczęszczał Bizet do konserwatorjum. Z natury cichy i zamknięty w sobie, gardził towarzystwem kolegów, poświęcając każdą wolną chwilę studjom muzycznym. — O niezwykłym talencie jego świadczy choćby fakt, że w 10-tyym roku życia interesuje się już reformą Glucka w zakresie dramatu muzycznego i pod wpływem Alcesty stawia swe pierwsze kroki kompozytorskie. Dopiero jednak trzyletni pobyt we Włoszech rozbudza w nim kolorystykę dźwiękową, a fanatyczny kult dla Rossiniego daje się odczuć w opera buffo **„Don Procopio"**. Wśród innych rzeczy komponuje także **„Poławiaczy Pereł"**, gdzie odnajdujemy wybitny element egzotyczny, **„La jolie fille de Perth"** zaś o silnie dramatycznem napięciu zdradza wpływy Verdiego. Wkrótce potem następuje wielki zwrot w pracach kompozytora. Bizet zapoznaje się gruntownie z reformatorskiemi dziełami Wagnera, a wniknąwszy w ich głębię, staje już w całej pełni świadom swej własnej drogi twórczej. Dzięki niej wznosi się na najwyższy szczebel twórczości. W **„Djamileh"** powstaje jego pierwsze arcydzieło, a w trzy lata potem, w 1875 **„Carmen"**, którą dopiero po swej śmierci miał zdobyć sławę wszechświatową!

Za życia wierny umiłowaniom i ideałom, szedł ciernistą drogą niepowodzeń, nie budząc wśród płytkiej publiczności paryskiej zrozumienia. Przez współczesnych lekceważony i zapoznany nie mógł przeżyć strasznego ciosu, jakim było dlań zimne przyjęcie jego Carmen i zmarł 3-go czerwca 1875 w 37-mym roku życia.

* * *

Chcąc choć powierzchownie przyjrzeć się jednostce, obdarzonej talentem tak pierwszorzędnej miary, jakim jest Bizet, musimy się zastanowić, w jakiej fazie artystycznej znajdowała się ówczesna muzyka francuska. Zwycięstwo wagnerowskiego dramatu muzycznego oznaczało koniec „Wielkiej Opery paryskiej", która w fantastyczno-błyskotliwych efektach orkiestralnych Meyerbeera uzyskała szczyt swego powodzenia. Równoczesny upadek opery komicznej wywołał w muzycznych sferach francuskich niełada zamięszanie, z którego wyłonił się nowy styl o wybitnie lirycznem zabarwieniu „drame lyrique" z Gounod'em, Thomas'em i Massenet'em na czele.

Publiczność paryska, przyzwyczajona do rzewnych tonów Fausta czy Mignon, wpadła w szał oburzenia wobec wstrząsająco-tragicznej muzyki Carmen oraz przeniesionych na scenę realistycznych splotów życiowych. Nienawidząc „importowanej" sztuki niemieckiej, lekkomyślny Paryż nazywa Bizeta francuskim Wagnerem, dając przez to wyraz wrogiego doń stosunku i chęci obniżenia niezwykłego talentu.

W rzeczywistości tymczasem pomiędzy zasadami Wagnera, a sztuką Bizeta różnica jest tak wielka, że nawet każdy laik na pierwszy rzut oka zorjentować się w niej potrafi. Przedewszystkiem uderzają nas właściwości zupełnie odmiennych ras, jakich obaj kompozytorowie są przedstawicielami. Obu również znamionuje całkowicie inny sposób instrumentacji. Wagner-filozof zanurza się w morzu mitów (germańskich), podczas gdy kompozytor francuski jest wyrazicielem bujnego życia ludzkiego. Bizet posługuje się wprawdzie na wzór Wagnera motywami prowadzącemi (Leitmotiv), są one jednak w zupełnie inny sposób ujęte, a wobec ognistego temperamentu i życiem pulsującej treści opery „Carmen", stają się ułamkami przelewających się fraz muzycznych. Mimo wielkiego zrozumienia sztuki niemieckiej wszystkie kompozycje jego noszą charakter czysto romański. Lśniący koloryt dźwiękowy przesiąknięty jest nutą dramatyczną, a całość tchnie jaskrawym realizmem.

W sztuce Bizeta odrajdujemy początki szkoły werystów. Impresjonizm muzyczny przebija zwłaszcza w dwóch jego ostatnich arcydziełach. W przedwcześnie zmarłym kompozytorze tym straciła Francja genjalnego przedstawiciela opery modernistycznej.

JANINA STRZEMBOSZÓWNA

Twórczość rzeźbiarska Janiny Reichert

Wyprzedzając nadchodzącą epokę neo - realizmu, względnie neo - klasycyzmu w sztuce europejskiej, wyrastała twórczoć Janiny Reichert w poszukiwaniu monumentalności, klasycznej dyscypliny faktury rzeźbiarskiej, statyki i tektoniki bryły, słowem: patetycznej interpretacji wielkiej formy rzeźbiarskiej. W poszukiwaniach tych tkwiła niewspółczesna tęsknota za organicznem zjednoczeniem rzeźby z architekturą w myśl zasad antycznych greckich, przewartościowanych w sensie najnowszych idej plastycznych. Rzeźba J. Reichert nigdy, w żadnym z okresów jej twórczości, nie była rzeźbą pokojowo - salonową, impresyjną, kompromisową. Artystka nie schlebiała ani publiczności, żądającej nowostek formy abstrakcyjnej przez ostatnie piętnastolecie, ani też nie poszła po drodze najmniejszego oporu epigonów impresjonizmu. Jej renesansowy talent buntował się przeciw nastawieniom formalnym ostatniej epoki, dążącym do wyeliminowania przedmiotu z kompozycji plastycznej, w celu stworzenia ekspresji czysto abstrakcyjnej, nie opartej na fabule dzieła, lecz wyłącznie tylko na jego formie i stosunku wzajemnym jej elementów składowych. Rzeźbiarka nie z rozsądku i spekulacji, lecz z namiętnej potencji twórczej, nie mogła zgodzić się na zlekceważenie najpradawniejszego źródła wszelkiej [illegible] plastycznej: ciała ludzkiego. Podjęła tedy samotną walkę z metodą wykoszlawienia, deformacji, prymitywizacji, a wreszcie zupełnej negacji człowieka, jako przedmiotu, w kompozycji nowoczesnej. Konstruktywizm i surrealizm, dwa ściśle abstrakcyjne kierunki, nie dotknęły nigdy sztuki Janiny Reichert. Przemyślała natomiast i przewartościowała swoiście kubizm, jako prąd ożywczy, odradzający swą programową deformacją kształtu skostniałą manjerę epigonów impresjonizmu w początkach XX wieku. I aczkolwiek wpływ kubizmu zaznaczył się w metodzie artystki bardzo nikłym urokiem, niemniej jej klasyczny warsztat rzeźbiarski uległ pod naciskiem picassowskich idej przeobrażeniom formalnym, różniącym zasadniczo jej formę i kompozycję od klasycznego antyku. Przedewszystkiem tedy artystka inaczej komponuje swoją bryłę. W miejsce hieratycznie - realistycznych lub idealnych figur, *ustawionych w architektonicznej przestrze.:i bardzo mało od niej zależnych*, jakiemi operuje rzeźba antyczna grecka, — stwarza J. Reichert figurę i grupę syntetyczną, komponowaną architektonicznie, w *ścisłym rytmie z otaczającą ją architekturą przestrzeni*. Metoda ta świadomie zdyscyplinowana, dąży do zasadniczej konstrukcji wszelkiej rzeźby monumentalnej: do jej ustawienia, uzgodnienia, ścisłej zależności, a wreszcie organicznego zrośnięcia się z architekturą wnętrza, z frontonem gmachu, albo cokołem pomnika, na tle dookolnej architektury. I dopiero wtedy, gdy bryła grupy rzeźbiarskiej uzgodniła się rytmicznie z całością sytuacji plastycznej, przystępuje artystka do jej różnicowania szczegółowego: syntezy kształtu w myśl obranej formy; stylizacji ruchu; modelunku powierzchni; indywidualizacji wyrazu i dynamiki, — a wreszcie specjalizowania materjału i jego faktury.



Janina Reichertówna: Fragment pomnika ku czci poległych żołnierzy w Brzeżanach

Praca artystyczna Janiny Reichert dotyczy głównie sztuki kościelnej i pomnikowej, niewyłączając portretu. Po ukończonych studjach fachowych, artystka osiedliła się na stałe we Lwowie, gdzie pracując bez wytchnienia, zdołała dojść do poważnych wyników i bogatego dorobku artystycznego, mimo swych młodych lat. W roku 1927 wystawiła szereg pierwszych kompozycyj portretowych, zyskując uznanie najpoważniejszej krytyki. Następnie już twórczość artystki popłynęła śladem zamówień. Wykonała popiersie Piłsudskiego dla korpusu kadetów, ołtarz do kościoła Św. Marji Magdaleny projektu Minkiewicza, kilka nagrobków i plakiet, projektów własnych i studjów. Między innemi wysłała na zamówienie projekt Słowackiego do Warszawy.

W tym czasie porzuciła posadę szkolną i otworzyła własną pracownię, którą prowadzi od kilku lat. Za najlepszą swą pracę uważa ołtarz w Polance koło Krosna, którego fragmenty



Janina Reichertówna: Madonna w kościele w Polance obok Krosna

dołączamy. Wykonany w drzewie i polichromowany, utrzymany w stylu neoklasycznym, zlekka kubizowanym, jest ołtarz ten czołowem dziełem artystki. W tym samym kościele spotykamy także jej „Chrystusa" w drzewie. Sam ołtarz składa się z centralnej postaci Madonny, dwóch aniołów bocznych i architektonicznie całość wiążącej aureoli.

Gdy do prac tych dodamy figury do głównego ołtarza w Tarnopolu, anioły ze stiuku z złoconemi skrzydłami; „Grupę Boga Ojca"; roboty narzutowe na fasadach kilku kościołów, figury w kościele Św. Elżbiety we Lwowie, wreszcie monumentalną kompozycję pomnika „poległych" w Brzeżanach, której fragment reprodukujemy; projekt pomnika lotników i doskonały projekt pomnika Marji Konopnickiej — staniemy nie tylko wobec twórczości dobrej, lecz zarazem płodnej i bogatej. Nie można mimo to zaprzeczyć, iż ciągłe uleganie woli zamawiającego demoralizuje poniekąd sztukę artystki, obniża jej indywidualność; przenika pierwiastkami kompromisu. Dlatego też nie wszystkie jej prace są impulsywne i pełnowartościowe. Praca dla chleba jest często mostem nad przepaścią, po którym kroczy artysta do swej własnej, niesprzedajnej sztuki, lecz z którego nierzadko do tej przepaści spada.

Janina Kilian Stanisławka.



Janina Reichertówna: Pomnik poległych żołnierzy w Brzeżanach

Życie i wszechświat

W szalonem tempie rozwijająca się wiedza ludzka zdołała rozwikłać już wiele problemow, wyjaśnić niejedną zagadkę przyrody. Ale wobec jednego ruchu stoimy ciągle bezradni, daremnie się siląc na oświetlenie mroki tajemnicy, otaczającej odwieczne zagadnienie stosunku życia do świata. Zastanawiając się nad znaczeniem tego tak rzadkiego zjawiska, jakiem jest życie, ciągle jeszcze snujemy jedynie domysły, stwarzamy mniej lub więcej frapujące teorje. Czem ono jest w rozwoju Kosmosu? Czy jest szczytem tego rozwoju, czy też przypadkowym, pozbawionym znaczenia, produktem ubocznym procesów przyrody?

Jeśli jest kulminacyjnym punktem, ku któremu dąży cały wszechświat, to cały ten proces rozwojowy, to trwające biljony lat przekształcanie się materji w niezamieszkanych gwiazdach i mgławicach i rozpraszanie promieniowań w pustej przestrzeni — musiałoby być jedynie nie do wiary rozrzutnem przygotowaniem do pojawienia się życia.

Można snuć tu i takie przypuszczenie: W swym rozwoju materja „przeżywa" pewien kryzys, rodzaj choroby, i właśnie objawem tej starczości jest pojawienie się życia.

Ale przejdźmy od tych domysłów do rzeczy konkretnych, do zaznajomienia się z tym materjałem faktycznym, którego nam w tej dziedzinie dostarcza wiedza astronomiczna.

Dawny pogl d, że każda, błyszcząca na firmamencie gwiazda, stanowi podatny grunt dla rozkrzewienia się życia, jest całkowicie obcy astronomji dzisiejszej. Gwiazdy mają temperatury powierzchniowe zawarte w granicach od jakichś 1650° do 30.000°, przyczem ich temperatury wewnętrzne są oczywiście jeszcze o wiele wyższe. Olbrzymio

przeważająca część materji we wszechświecie posiada temperaturę, wynoszącą miljony stopni, tak, iż cząsteczki muszą tam być zdysoljowane na atomy, te zaś przynajmniej częściowo, rozłożone na swe części składowe. Otóż samo pojęcie życia zawiera logicznie pojęcie trwania w czasie: nie może być życia tam, gdzie atomy zmieniają ustawicznie swój obieg miljony razy na sekundę i gdzie nie może istnieć trwale ani jedna para połączonych z sobą atomów.

Z pojęciem życia nierozerwalnie jest złączony pewien stopień ruchliwości w przestrzeni.

Otóż te dwa żądania ograniczają dziedzinę życia do niewielkiego zakresu warunków fizycznych, w których możliwe jest istnienie materji w stanie ciekłym.

Z dotychczasowych naszych wiadomości o budowie wszechświata wynika, że zakres jego, w którym mogłyby istnieć warunki dla życia, w porównaniu do całości kosmosu jest bardzo mały. Nie znajdujemy życia ani na gwiazdach, ani w mgławicach, z których gwiazdy powstają. Z wyjątkiem planet, podobnych do naszej Ziemi, obiegających dokoła słońca centralnego, nie znamy ciał kosmicznych, na których istniałyby warunki, sprzyjające zakorzenieniu się życia.

Jednakże, według wszelkiego prawdopodobieństwa, planety są bardzo rzadką postacią ciał niebieskich, a do tego, aby życie mogło się na nich rozkrzewić, muszą one być ani zbyt chłodne, ani zbyt gorące. W układzie słonecznym np. niepodobna wyobrazić sobie życia, istniejącego na Merkurym, albo na Neptunie: ciecze zamieniłyby się w parę na pierwszym z nich, ścięłyby się w lód na ostatnim. Planety te są nieprzydatne dla życia z tego powodu, że są albo zbyt blisko, albo zbyt daleko od słońca.

Mogą również istnieć planety, nie nadające się na podłoże życie dlatego, iż substancja ich wytwarza energję z nadmierną wydajnością.

Bezwładne, martwe atomy, z których składa się Ziemia nasza, wydają się końcowym produktem długiego szeregu zmian atomowych, rodzajem ostatecznego „popiołu", pozostającego przy spalaniu się świata. Widzieliśmy, że atomy tego rodzaju wznoszą się prawdopodobnie ku powierzchni każdej gwiazdy, jako najlżejsze ze wszystkich, niepodobna jednak wyprowadzić stąd wniosku, że wszystkie planety muszą się składać wyłącznie z atomów „nieaktywnych", że więc z biegiem czasu stygną do tego stopnia, by życie mogło zakorzenić się na nich. Tak przedstawia się sprawa w przypadku naszej ziemi, nie wiemy jednak, ile planet i układów planetarnych nie nadaje się na siedlisko życia wskutek tego, iż warunki ułożyły się na nich pod tym względem inaczej.

Tak ujmuje problem życia w wszechświecie znakomity astronom angielski Jeans.

Widzimy z tych wywodów wielkiego uczonego, że tylko znikomą możemy mieć nadzieję wyświetlenia tajemnicy, którą Stwórca uczynił dla nas niezgłębioną.

Jerzy Samuel Bandtkie

W setną rocznicę zgonu

ZASŁUGI BANDTKIEGO DLA NAUKI POLSKIEJ

Dnia 11 czerwca przypada setna rocznica zgonu wielkiego uczonego polskiego, który z początkiem ubiegłego wieku wraz z H. Kołłątajem, St. Staszicem, S. B. Lindem, J. Lelewelem położył fundamenty pod rozwój nowoczesnej nauki polskiej i nowoczesnych form jej organizacji — Jerzego Samuela Bandtkiego, dyrektora Bibljoteki Jagiellońskiej i profesora bibljografji na Uniwersytecie Jagiellońskim. Postać to pod każdym względem nieprzeciętna. Historyk, bibljograf, badacz języka polskiego łączący z szerokiemi zamiłowaniami naukowemi, obejmującemi bezmała całą dziedzinę humanistyki, niemiecką gruntowność i systematyczność, zrozumienie dla ważności metodynaukowej i konieczności prowadzenia monograficznych badań, przytem — rzecz w Polsce rzadko spotykana — niestrudzony organizator nauki. Ten zmysł organizacyjny objawił Bandtkie w wielu przedsięwzięciach naukowych. Jako kierownik Bibljoteki Jagiellońskiej uporządkował w nieładzie pozostające jej zbiory, dając tem samem podwaliny pod późniejszy rozwój tej książnicy, dalej dał inicjatywę do powstania pierwszych w Krakowie naukowych czasopism perjodycznych (Rozmaitości Naukowe, Miscellanea Cracoviensia, Miscellanea Cracoviensia Nova) i wniósł nowego ducha do pozostającego wówczas w naukowej martwocie Uniwersytetu. Nietylko bowiem samorzutnie rozszerzył swe wykłady z bibljografji na numizmatykę i językoznawstwo słowiańskie, ale pierwszy zorganizował na Wydziale filozoficznym rodzaj seminarjum historycznego i filologicznego, które prowadził przez lat blisko dwadzieścia (1813-4 do 1832-3). Z seminarjum tego wyszła plejada poważnych uczonych, pracujących na polu filologji klasycznej, literatury polskiej, bibljografji i historji, jakiemi nie może się poszczycić żaden ówczesny profesor trzech polskich uniwersytetów, m. i. osobistości tej miary, co W. H. Maciejowski, J. Muczkowski, A. J. Helcel i t. d.

Godzi się zatem pokrótce przypomnieć koleje życia tego zasłużonego uczonego i omówić jego działalność naukową.

STUDJA I PIERWSZY OKRES DZIAŁALNOŚCI

Bandtkie urodził się w Lublinie 24 listopada 1768 r. z ojca Jana Samuela, rodem z Szlichtingowa pod Wschową, który jako kupiec osiadł w Lublinie, i matki Anny Marji z Noacków. Nauki niższe otrzymał w rodzinnym Lublinie, średnie w latach 1779 do 1787 w gimnazjum św. Elżbiety we Wrocławiu, gdzie miał rodzinę ojca. Po uzyskaniu w r. 1787 świadectwa dojrzałości, studjował dwa lata teologję w uniwersytecie w Halli, a jeden rok w Jenie. Zamiast teologji pociąga go jednak rychło historja i filologja, tak, że ostatecznie nie poświęcił się zawodowi pastora, lecz w r. 1790 objął obowiązki guwernera u pastora Nürnbergera w Hermannsdorf (pod Wrocławiem), skąd jeszcze w tymże roku przeszedł na podobne stanowisko do Piotra Ożarowskiego, kasztelana wojnickiego, hetmana polnego, w którego domu spędził osiem lat, jako nauczyciel jego młodszych synów, bawiąc z nimi zkolei w Brzózce (pow. kozienicki), Warszawie, Dreźnie, Berlinie, wreszcie przez dwa ostatnie lata w Petersburgu (1796—7). W 1798 r. wraca do Wrocławia i tu obejmuje w swem dawnem gimnazjum św. Elżbiety stanowisko profesora substytuta i nauczyciela języka polskiego, a w rok później zostaje tłumaczem przysięgłym języka polskiego przy magistracie wrocławskim, następnie także przy Izbie wojenno-ekonomicznej (Kriegs-Domänen-Kammer). Jako znawca języka polskiego brał udział z ramienia pruskiej władzy w wizytacji szkół w prowincji t. zw. Prus Południowych i Nowo-Wschodnich (tj. terytorjum, przypadłego Prusom w 2 i 3-cim zaborze), przeprowadzonej przez znanego pedagoga Gedickego, w związku z czem opracował oficjalny memorjał (1804), który wpłynął w pewnej mierze na zelżenie systemu germanizacyjnego w szkolnictwie na ziemiach polskich. W 1803 r. posunięty został na „siódmego" profesora gimnazjum św. Elżbiety, a niedługo potem powołany na rektora szkoły św. Ducha, z czem złączone było stanowisko bibljotekarza książnicy przy kościele św. Bernarda.

PRACE Z ZAKRESU ŚLĄSKA I DZIEJÓW POLSKICH

Na okres ten przypadają pierwsze prace naukowe Bandtkiego, publikowane od r. 1799 głównie w „Schlesische Provinzional-Blätter" i w dodatkach literackich do nich. Poświęcone one były zagadnieniom słowianoznawczym, językowym, etnograficznym i historycznym (z dziejów Śląska). Ważniejsze z nich ogłosił Bandtkie osobno w książce „Historisch-critische Analecten zur Erläuterung der Geschichte des Ostens" (Wrocław 1802). Zapuszczając się głębiej w najstarsze dzieje Śląska, powziął wówczas Bandtkie plan napisania źródłowej historji tej dzielnicy do 1355 r., t. j. do oderwania jej ostatecznego od Polski. Niestety pochłonięty innemi zagadnieniami, zamiaru tego nie ziścił. Jedyną większą pracę, jaką z tej dziedziny zostawił, było studjum o rozwoju godności hrabiowskiej na Śląsku (Ueber die gräfliche Würde in Schlesien, Wrocław 1810).

Niezależnie od tych badań dziejowych wcześnie poświęca Bandtkie uwagę filologji polskiej. Pierwszą w tej dziedzinie pracą było ogłoszenie nowego wydania przysłów A. M. Fredry (Wrocław 1802, 1809). Niebawem chcąc przyjść z pomocą żywiołowi polskiemu na Śląsku, w porozumieniu ze znanym drukarzem i nakładcą wrocławskim W. B. Kornem wydaje serję podręczników języka polskiego: Nowy elementarz polski (Wrocław 1803, 1808, 1824) i nowe wydanie Komenskiego Orbis rictus w języku łacińskim, polskim, francuskim i niemieckim (Wrocław 1805), Słownik dokładny języka polskiego i niemieckiego (Wrocław 1806, 2 t.), Gramatykę polską dla Niemców (Wrocław 1808, 1818, 1824). Ukoronowaniem jego działalności w zakresie podręczników było wydanie w r. 1810 dobrego na swój czas zarysu dziejów polskich (1-sze wyd. p. t. Krótkie wyobrażenie dziejów Królestwa Polskiego, 1810 2 t., 2-gie p. t. Dzieje Królestwa Polskiego, 1820, 3-cie p. t. Dzieje narodu polskiego, 1835, oraz przekład rosyjski, 1830).

NA UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM

Pracami temi zwrócił Bandtkie na siebie rychło uwagę polskiego świata uczonego, a przedewszystkiem starego ks. Czartoryskiego, generała ziem podolskich, który z Bandtkiem pozostawał już od r. 1802 w korespondencji. Z inicjatywy Ks. Czartoryskiego Izba Edukacyjna Księstwa Warszawskiego w maju 1810 r. zaproponowała Bandtkiemu objęcie stanowiska bibljotekarza Bibljoteki Jagiellońskiej z obowiązkiem udzielania wykładów bibljografji na Uniwersytecie. Posłuszny wezwaniu objął istotnie Bandtkie w d. 4 września 1811 r. kierownictwo Bibljoteki, w której pracując ćwierć wieku zdołał ją wreszcie uporządkować i conajmniej w dwójnasób pomnożyć. W Krakowie też dopiero w całej pełni rozkwita jego twórczość naukowa, poświęcona obecnie głównie zagadnieniom, związanym z dziejami książki. Już w r. 1812 ogłosił pracę: „De primis Cracoviae in arte typographica incunabulis", następnie w roku 1815 „Historję drukarń krakowskich", które to obydwie prace dały podnietę Lelewelowi do skreślenia „Bibljograficznych ksiąg dwoje", za niemi poszły niebawem „Historja Bibljoteki Jagiellońskiej" (1821) i trzytomowa „Historja drukarń w Królestwie Polskiem i Wielkiem Księstwie Litewskiem" (1826).

Pozatem nie ustawał w pracy nad historją języka polskiego. W 1826 r. ogłosił najstarsze teksty: Ojcze nasz, modlitwy Pańskiej z różnych rękopisów, w roku następnym podał „Wiadomość o najstarszym może Psałterzu polskim", wreszcie w r. 1830 ogłosił ważny traktat o ortografji J. Parkosza.

Takie oto były prace Bandtkiego podejmowane zawsze z myślą o Polsce.

Zasłużył się on również dobrze Śląskowi. On pierwszy z uczonych polskich podjął systematyczną pracę nad krytycznem wyświetleniem jego dziejów w okresie przynależności do Polski, a później do nich skierował swych uczniów (W. Kulawski), on dalej — za co winniśmy mu wdzięczność — pierwszy zwrócił uwagę w nauce na polskość Śląska i przeciwstawił się śmiało i z dużą odwagą cywilną tezom niemieckiej nauki, poczytującej polszczyznę Śląska „za niepolską, nazywającą ją czasem nadodrzańskim syrbskim językiem, Oberwendisch, czesko-polską mową, Boehmisch-Polnisch, a przez swe podręczniki przyczynił się do utwierdzenia jego polskości. On wreszcie pierwszy w nauce polskiej zajął się dialektologją i zebrał w tej materji ciekawe próbki, wykreślił granicę zasięgu języka polskiego i uchwycił wiele cennych do dziś żywych szczegółów z dziedziny etnografji i życia obyczajowego Śląska.

Dr. HENRYK BARYCZ.



U stóp Czarnohory

Rozrost „Pamiętnika Literackiego"

O kulturze naukowej Lwowa dobrze świadczy fakt, że dwa główne perjodyki polskie poświęcone historji i literaturze, **Kwartalnik Historyczny** i **Pamiętnik Literacki**, wychodzą nadal — pomimo zmienionych warunków — w naszem mieście. Były wprawdzie projekty przeniesienia tych centralnych organów humanistycznych do stolicy, jednakże uczeni lwowscy nie zgodzili się na ogołocenie Lwowa z placówek, które zaszczytnie spełniały swą rolę na przełomie XIX i XX wieku, kiedy nauka polska rozkwitała bujnie jako jeden z przejawów odrodzenia narodowego.

Że uczeni lwowscy kierowali się nietylko patrjotyzmem lokalnym, lecz przeświadczeniem o sile ekspansywnej naszego środowiska, na to dowód znajdujemy w znakomitym rozwoju kwartalnika wymienionego w tytule artykułu. Pamiętnik Literacki, przetrzymawszy parę chudych lat powojennych, wrócił do dawnego wysokiego poziomu, gdy redakcję objął prof. Wilhelm Bruchnalski w r. 1922. W latach 1926 — 1933 redagował Pamiętnik śp. prof. **Bronisław Gubrynowicz**, dokładając wszelkich starań, aby objętość pisma powiększyć do rozmiarów normalnych a zarazem udostępnić je młodym pracownikom naukowym.

Od połowy roku 1933 kierownictwo **Pamiętnika** spoczywa w rękach dyrektora Ossolineum, dr. Ludwika Bernackiego, który wespół z W. Bruchnalskim i Ign. Chrzanowskim, objął redakcję. W tym ostatnim okresie **Pamiętnik Literacki** osiągnął bardzo wysoki poziom naukowy, jak za najlepszych lat przedwojennych.

Każdy kolejny tom **Pamiętnika** przynosi rozprawy o doniosłem znaczeniu, to też pismo zaczyna budzić zainteresowanie nietylko wśród fachowców, ale i w szerszych kołach miłośników literatury. W sezonie 1934/35 cieszyły się dużem powodzeniem **Wieczory Pamiętnika Literackiego**, zebrania dyskusyjne, odbywające się co miesiąc w pracowni Zakładu Nar. im. Ossolińskich. Na zebraniach omawiano poszczególne tomy **Pamiętnika** oraz dyskutowano nad referatami o aktualnych problemach literackich.

W ten sposób rozwój **Pamiętnika** idzie w parze z ożywieniem działalności Towarzystwa Lit. im. A. Mickiewicza, które jest wydawcą kwartalnika i organizatorem **Wieczorów**.

Wspaniale przedstawia się nowy tom Pamiętnika (R. 1935, Zeszyt 1—2), poświęcony Stanisławowi Windakiewiczowi, em. profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, w 50-lecie pracy naukowej na niwie historji literatury polskiej. Uczniowie, koledzy i przyjaciele złożyli piękny i serdeczny hołd jednemu z naszych najwybitniejszych uczonych. Choć krakowski profesor, Windakiewicz związany jest pochodzeniem z Ziemią Czerwieńską. Urodził się w Drohobyczu w r. 1863.

Sylwetę Windakiewicza jako porywającego wykładowcy i oryginalnego pisarza, nakreślił Wacław Borowy. Krytyk stworzył żywy obraz mistrza, wyłuskał subtelne cechy jego sztuki krasomówczej i odsłonił tajemnice pracy naukowej, uchodzące nieraz mniej bacznym czytelnikom. W studjum Borowego niema nic z banalnych komplementów ani schematów, w jakie zwykle zamyka się jubileuszowe charakterystyki. Autor uchwycił indywidualność Windakiewicza, to też oszczędził nam przykrego uczucia, że te same słowa o jednym uczonym — możnaby zastosować do wielu innych. Następstwem niekonwencjonalności studjum Borowego jest fakt, że obok wielkich zalet Windakiewicza uwydatnia ono też śmiesznostki i **lapsusy** znakomitego badacza. Jak Windakiewicz umiał w Reju a nawet w Skardze odszukać nietylko koturny „ojca literatury polskiej", czy natchnionego kaznadziei, ale też zwyczajne ludzkie cechy, tak i Borowy nie stylizuje Windakiewicza na nieomylnego profesora, który **ex cathedra** wygłasza same święte prawdy. Jednakże to, co Borowy kwestjonuje, jest przemyślane sumiennie a wyrażone dowcipnie. Z całego studjum widać gorącą sympatję i wdzięczność ucznia dla nauczyciela. Rozprawa Borowego, już druga — po studjum o Bronisławie Chlebowskim — to rzadki u nas typ portretu naukowego.

Bibliografję pism prof. Windakiewicza zestawili M. Korzenik, S. Laskowski i L. Nowak.

* * *

Spośród ośmnastu rozpraw, wypełniających tom Pamiętnika, siedm odnosi się do literatury staropolskiej, reszta zajmuje się nowszemi czasami i dziełami.

Charakter syntezy ma szkic Juljana Krzyżanowskiego, profesora Uniwersytetu warszawskiego, pt. **„Średniowiecze i renesans w poezji polskiej wieku XVI"** Autor rozwija tu twierdzenie, rzucone przed pięciu laty na Zjeździe im. Kochanowskiego. Brzmi ono następująco: literatura typu średniowiecznego nie wygasa u nas około r. 1543, jak to się zazwyczaj przyjmuje, lecz trwa nadal równolegle z renesansem. Wywołana przez to „dwoistość naszej ówczesnej kultury literackiej jest jedną z najbardziej charakterystycznych cech literatury zygmuntowskiej, nietylko w epoce Zygmunta I. ale również w czasach Zygmunta III" Krzyżanowski dowodzi, że prąd renesansowo-humanistyczny nie objął u nas całego społeczeństwa, lecz pozostał niejako na wierzchu, gdy niższe i szersze warstwy karmiły się kulturą i literaturą średniowieczną. Dwuwarstwowość poezji końca XVI wieku, zgodna z dwoistością całej ówczesnej kultury polskiej została przez autora przekonywająco uzasadniona. Czy jednak można ją uważać za „jedną z najbardziej charakterystycznych cech literatury zygmuntowskiej" — wątpię.

W żadnej epoce nie panuje zupełna jednolitość kierunku czy mody literackiej. Dwoistość jest najczęstszą postacią życia kulturalnego, gdyż w każdej niemal epoce występuje paralelizm pierwiastków dawniejszych i nowszych, przyczem istnieje podział na t. zw. awangardę i szeroki ogół, mocno trzymający się kanonów przeszłości. Między temi dwiema grupami zachodzi ciągła wymiana wartości. Od stopnia owej wymiany zależy czy nowy prąd staje się — mówiąc nieściśle — powszechny, czy też ogranicza się do elity kulturalnej narodu. Krzyżanowski ma rację twierdząc, że renesans był u nas prądem elitarnym, gdy w innych krajach Europy sięgnął głębiej i szerzej. Faktu tego nie należy jednak przeceniać. Jest on ważny ze względów historyczno kulturalnych, ale nie należy chyba do „najbardziej charakterystycznych cech literatury zygmuntowskiej". To, co tworzy „literaturę zygmuntowską", jest naprawdę renesansowe, jak dzieła Kochanowskiego, Górnickiego itp.

Zasługą Krzyżanowskiego nie jest odkrycie jakiejś zasadniczej cechy literatury zygmuntowskiej, lecz obalenie zbyt sztywnego podziału na epoki, średniowieczną i renesansową. Tendencja do usuwania sztucznych barjer między okresami kulturalnemi jest obecnie powszechna w całej nauce europejskiej. Zamiast wyraźnie odgraniczonych epok, widzimy dziś falę elementów różnorodnych, z których raz te, raz inne wysuwają się na czoło.

Ciekawe studjum o **włoskich komedjantach króla Jana** dał Mieczysław Brahmer, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, obecnie lektor języka polskiego w Uniwersytecie rzymskim. Brahmer romanista z młodej generacji, zajmuje się specjalnie badaniem stosunków kulturalnych polsko-włoskich. Artykuł o trupie aktorskiej na dworze Sobieskiego przynosi kilka nieznanych dotąd informacyj, z których wynika, że poziom owych komedjantów był dość niski, jakkolwiek w Polsce cieszyli się oni wielkiem uznaniem. Gdy teatr Władysława IV, coprawda dzięki operze, wzbudził podziw cudzoziemców, teatr Sobieskiego wywoływał u nich tylko zdziwienie. Trupa włoska nie przyczyniła się do rozwoju literatury ani sceny polskiej, to też autor ocenia ją nie jako zjawisko artystyczne, lecz jako epizod w dziejach obyczaju polskiego i w dziejach stosunków kulturalnych polsko-włoskich.

Do historji stosunków polsko-hiszpańskich nieznane szczegóły dorzuca artykuł Władysława Folkierskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, zatytułowany: **„Ślady podróży flandryjskiej królewicza Władysława (1624) w teatrze Calderona.** Folkierski, wybitny romanista, pracujący obecnie nad dramatem hiszpańskim, odszukał w sztuce Calderona **Oblężenie Bredy** wcale dokładne i realistyczne echo pobytu królewicza Władysława Wazy w obozie hiszpańskim pod Bredą, twierdzą holenderską. Dowodzi to, że Polska była dla ówczesnej Hiszpanji nietylko rezerwatem egzotyzmu.

Nowe i poważne zdobycze przynoszą rozprawy Ludwika Kamykowskiego i Wiktora Weintrauba. Kamykowski zbadał interesujący poemat Łukasza Opalińskiego: **Poeta nowy.** Jest to pierwsza poetyka polska wierszowana, powstała zresztą pod wpływem Persjusza, Horacego i Eclesiaty. — Weintraub przeprowadził wnikliwe studja nad rękopisami i edycjami Andrzeja Morsztyna. Autor dochodzi do rezultatu, że wydania dotychczasowe liryków Morsztyna roją się od błędów, zmian i opuszczeń. Zarówno Poeta nowy Opalińskiego, jak i poezje Morsztyna powinny być wydane krytycznie.

Kilka uwag o stosunku pieśni ludowych do dawnej literatury polskiej skreślił Jan St. Bystroń, profesor Uniwersytetu warszawskiego w notatce. **Z dziejów polskiej pieśni ludowej.**

Na szerokiem tle historyczno-kulturalnem opierają się wywody Zygmunta Leśnodorskiego w rozprawie **Miasta i mieszczanie w powieści stanisławowskiej.** Autor podkreśla brak konkretności w opisach miast i stosunków miejskich u powieściopisarzy XVIII wieku. Wszyscy oni (Krasicki, Krajewski, Jezierski) wspominają ogólnikowo o brudzie i nędzy małych miasteczek. W jednym punkcie autorowie wykazują realizm i zgodność poglądów, mianowicie niemal wszyscy za główną przyczynę upadku miast polskich uważają nadmierne rozplemienienie się niekulturalnego elementu żydowskiego. Zdecydowanym antysemitą był m. in. Krasicki, który w **Panu Podstolim** pisał, iż naród żydowski jest „sprawiedliwie wzgardzony, bo chytry, łakomy i podły, bo tyle obrotnym przemysłem i statecznem usiłowaniem dokazał, iż mimo niezdatność swoją, przymusza tych, u których się zagnieździł, iżby go cierpiano".

* * *

Poezja romantyczna natchnęła prof. Ignacemu Chrzanowskiemu jedno z jego najpiękniejszych studjów: **Na szczytach polskiej liryki religijnej.** Jest to głęboka analiza estetyczna pięciu wierszy Mickiewicza **Do Marceliny Łempickiej, Rozmowa wieczorna, Rozum i wiara, Arcymistrz, Mędrcy.** Chrzanowski wydobył walory religijne, myślowe i artystyczne, niedoceniane należycie w rzeczonych utworach genjalnego poety. Uczony wyraża sąd, iż ani staropolska liryka religijna, posiadająca takie perły jak **Hymn o dobrodziejstwach bożych** i niektóre **Treny** Kochanowskiego, ani liryka późniejsza — pomimo Słowackiego i Kasprowicza — nie wzniosła się na te wyżyny, jakie osiągnął Mickiewicz.

Niewiele spostrzeżeń samodzielnych zawiera artykuł Józefa Birkenmejera **Kim jest ks. Piotr w Dziadach?** Ks. Piotr to oczywiście malarz i mistyk Oleszkiewicz, z którym twórca **Dziadów** przyjaźnił się w czasie swego pobytu w Petersburgu.

Józef Ujejski profesor Uniwersytetu warszawskiego, ogłasza rozprawę o mickiewiczowskim przekładzie **Giaura** Byrona. Rozprawa ta wejdzie do wydania sejmowego **Dzieł** Mickiewicza, jako wstęp do przekładu **Giaura.**

Ciekawość i pietyzm mickiewiczologów kazały im się kusić o rozstrzyganie spraw tak nieuchwytnych w poezji, jak np. data wykładu Wojskiego o gwiazdach w VIII księdze **Pana Tadeusza.** Kwestją tą zajmowali się Andrzej Niemojewski i Stanisław Turowski. Obecnie Turowski, na podstawie danych dostarczonych przez astronoma dr. Antoniego Kanię, stwierdza, że ze słów Wojskiego nie można wyprowadzić ścisłej daty wykładu o gwiazdach. Nie wiemy więc — i zapewne nigdy się nie dowiemy — czy akcja pierwszych dziesięciu ksiąg **Pana Tadeusza** toczy się od 5 do 10 lipca jak chciał Niemojewski czy od 2—7 sierpnia jak przypuszczał Turowski. Ostatecznie — mała szkoda. Pewne jest tylko, że akcja **epopei dzieje się w drugiej** połowie lata, podczas żniw. To wystarczy, bo o tem informuje nas sam poeta.

Przyczynkiem do stosunków polsko - czeskich jest artykuł Marjana Szyjkowskiego, profesora Uniwersytetu praskiego, pt. **Wileńscy filomaci w Pradze.** Autor ogłaszał już poprzednio materjały do historji polskich peregrynacyj do Pragi i Kralowych Warów. Obecnie otrzymaliśmy informacje o podróży Franciszka Malewskiego, który okazuje się pożytecznym łącznikiem między młodymi propagatorami odrodzenia czeskiego, a wileńskimi filomatami. Malewski zaznajomił pobratymców z filomatyzmem i z poezją Mickiewicza, a przyjaciela zainteresował czeszczyzną, co później znalazło oddźwięk w podróży poety do Pragi (1829 r.) oraz w wykładach o literaturze słowiańskiej.

Piotr Bańkowski pisze o rosyjskim wierszu Syrokomli. Stanisław Zabierowski w szkicu p. t. **Harfa,** daje fragment z monografji o **Lilli Wenedzie** Słowackiego. Franciszek Bielak przedstawia antynomję istniejącą w twórczości Dygasińskiego. Polega ona na przeciwieństwach walki o byt i entuzjazmu moralnego, który ożywiał pisarza-pedagoga. Dygasiński był synem epoki materjalistycznego pozytywizmu, a równocześnie miał wiarę w bezwzględność dobra. Antynomja Dygasińskiego jest charakterystyczna dla przemian umysłowości polskiej w ostatniej ćwierci XIX stulecia. Zofja Szmydtowa omówiła twórczość dramatyczną Norwida. Roman Dyboski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, napisał obszerną recenzję — artykuł zpowodu książki lorda Dawida Cecila o wielkich powieściopisarzach angielskich XIX. w. **(Early Victorian Novelists.** Londyn 1934).

Sporne problemy z dziedziny edytorskiej porusza Stanisław Pigoń, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, w rozprawie **Kilka uwag o wydaniach nowszych tekstów literackich.** Autor, pełniący funkcję redaktora wydania sejmowego **Dzieł** Mickiewicza, występuje przeciw nadmiernej drobiazgowości edytorów. Słusznie dowodzi Pigoń, że od „religijnej skrupulatności" lepsza bywa „rzetelna umiejętność wyboru", gdy chodzi o warjanty, przekreślenia, błędy etc. Dla poznania psychologji twórczości najskuteczniejsza jest podobizna autografu, a nie wydanie tekstu, choćby przesadnie dokładne.

Dłuższy przegląd treści ostatniego **Pamiętnika** usprawiedliwia jego niezwykle wysoka wartość naukowa. Ona to świadczy wymownie o rozroście pisma, którego redakcja potrafiła skupić tyle i tak cennych prac historyczno-literackich.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

W sprawie nauczania muzyki

Żyjemy w czasach, w których kultura ogółu stoi na tej wyżynie, że chyba w jakiejś najbardziej „zakutej" wsi, zupełnie odległej od jakiegoś ośrodka ruchu cywilizacyjnego, znajdzie się jednostka, która nie docenia doniosłości nauki. Dziś każdy, chociażby nie uczony — pragnie światła wiedzy dla swego dziecka, ostatni — nieraz ciężko zapracowany grosz na możność kształcenia dzieci łożąc. Jeżeli tu i ówdzie znajdzie się ktoś, kto w bezgranicznej swej tępocie z tych lub innych powodów nie chce swego dziecka kształcić, to stanowi on w społeczeństwie taki wyjątek — jak przestępca wśród grona ludzi uczciwych. A jeśli w społeczeństwie znajduje się pewien mniejszy lub większy procent jednostek nieuczciwych, to ten fakt nie uprawnia nas bynajmniej do wyrażenia mniemania, iż całe społeczeństwo jest nieuczciwe. Podobnie też ewentualna obecność w społeczeństwie osób od wiedzy stroniących, nie daje powodu do przypuszczeń, że społeczeństwo to wiedzy nie chce lub doniosłości jej nie uznaje.

Ponadto miłość rodzicielska do dziecka nakazuje rodzicom dać dziecku możność wykorzystania wszelkich, chociażby najliczniejszych urządzeń społecznych, któreby mu zapewniły w przyszłości dobrobyt, stanowisko, wiedzę i t. p. Ta wielka troska o dobro dzieci skłania szereg ludzi do umożliwienia im dostępu do sztuki, bądź to celem uszlachetnienia młodych dusz, bądź to celem opanowania jej arkanów w celach czysto zawodowych. Największem, a może i najsłuszniejszem powodzeniem cieszy się pod tym względem sztuka muzyczna. Największy też procent młodzieży kształci się w muzyce.

Nie jest celem tego artykułu zastanawianie się nad powodami tego zjawiska, omówienie jego dobrych czy złych stron, nie pragnę też z tego faktu wyciągać jakichś wniosków, pomawiających nasze społeczeństwo o większą czy mniejszą muzykalność.

Dziś pragnę tylko zwrócić uwagę osób zainteresowanych na fakt, że częstokroć — mimo swej jak najlepszej woli, mimo dużych kosztów i starań — osoby te wykształcenie muzyczne swych dzieci często na błędne, a czasem i na fałszywe kierują drogi, łożąc grosz na ten rodzaj muzycznego kształcenia, który do rezultatu właściwego nigdy doprowadzić nie zdoła.

Obecny bowiem stan ogromu wiedzy muzycznej, materjału tej sztuki i poziom jej wymagają, aby jednostki, które uchodzić pragną za „umuzykalnione" posiadały maximum wykształcenia muzycznego. Cóż dopiero mówić o ludziach, którzy w sztuce muzycznej **współdziałać** pragną! Czyż w dzisiejszych czasach byłoby możliwem, aby w świecie literatury lub poezji mogła zabrać decydujący, albo i mniej znaczny głos jednostka, która — jakkolwiek posiada duszę wrażliwą na piękno, na zdolności rymotwórcze i ewentualne inne zalety, — nie posiada odpowiedniego wykształcenia? Czy możliwem jest, aby literat nie posiadał znajomości choćby tylko ortografji i wiadomości o budowie zdania?

Żądamy dziś od przeciętnego aktora studjów uniwersyteckich z działu kultury i sztuki, a już przynajmniej obok wykształcenia ogólnego ukończenia jakiejś uczciwej szkoły dramatycznej — a wielu ludziom zdaje się, że opanowanie techniki gry fortepianowej lub skrzypcowej, że umiejętność odśpiewania jakiejś arji operowej — daje ich dziecku prawo do zaliczania się w poczet artystów — muzyków lub — co więcej — do odgrywania w świecie muzycznym pewnej dominującej roli.

Stan ten spowodowany został — gdy o muzykę chodzi — pewną niewłaściwością, wynikającą z faktu, że zbyt wielu **„rzemieślników"** żeruje w zawodzie muzycznym, którzy sztuczną reklamą, zachwalaniem swych, rzekomych sukcesów i t. d. wprowadzają w błąd ludzi dobrej woli. Zdaje się tedy ludziom, że wykształcenie muzyczne swego dziecka mogą śmiało złożyć w ręce prywatnej nauczycielki lub nauczyciela, udzielającego nauki gry na danym instrumencie lub nauki śpiewu solowego jakąś rzekomo słynną **„metodą"** i to za tanie, nieraz bardzo tanie pieniądze.

Tymczasem zaś najlepszy z owych „pedagogów" gry lub śpiewu zdoła w najlepszym razie dać uczniowi nader jednostronne wykształcenie, i pewną „techniczną zaprawę" — nie jest jednak w stanie dać uczniowi nawet minimum wiedzy muzycznej, nawet tych zasadniczych wiadomości z dziedziny „ortografji" i „gramatyki" muzycznej.

Tymczasem zaś muzyka — jakkolwiek jest jedną z najpoważniejszych sztuk pięknych i powiedzmy szczerze — najpopularniejszych, jest równocześnie **wiedzą**, której uzyskanie wymaga gruntownego i planowego kształcenia się, **dostępnego tylko w poważnej instytucji muzycznej, a więc w szkole muzycznej, pozostającej pod nadzorem ministerstwa lub jego organów lub w konserwatorjum muzycznem, posiadającem właściwy plan nauki, przez grono poważnych muzyków przestudjowany i przez władze zatwierdzony.**

Nikogo nie dziwi fakt, że od poety wymaga się znajomości form poetyckich, a jakże wielu się dziwi, gdy od muzyka żąda się znajomości form muzycznych! Jest zaś rzeczą pewną, że najlepszy pianista nie zagra właściwie i wnikliwie chociażby fugi Bacha, jeśli nie zna konstrukcji tej fugi, jeśli nie rozumie zadania jej tematu. Tosamo dotyczy sonaty i każdego innego utworu muzycznego. Błąd ortograficzny popełniony przez literata ośmieszyłby tego ostatniego w oczach społeczeństwa, a nieświadomość właściwego użycia „ó pochylonego" lub „u" — zdyskredytowałoby go w zupełności. Natomiast szereg ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, że nazwanie danego dźwięku nazwą „gis" wówczas, gdy prawa harmonji żądają w tem miejscu nazwy „as", jest równoznaczne z zupełną ignorancją prymitywnych zasad muzycznych.

Program każdego konserwatorjum muzycznego uwzględnia trzy zasadnicze kierunki wykształcenia muzycznego: 1) odtwórczy, z naciskiem na stronę artyzmu wykonania, 2) pedagogiczny z przewagą wiedzy, potrzebnej nauczycielowi muzyki i z odpowiedniem przygotowaniem do zawodu naucz. i 3) twórczy, dla jednostek pragnących się poświęcić kompozycji.

Do każdego z tych działów przywiązany jest obowiązkowy materjał wiedzy ogólno-muzycznej, której nie jest w stanie udzielić żaden prywatny nauczyciel lub domorosła nauczycielka, chociażby to byli ludzie — jako wykonawcy — na wysokim poziomie sztuki stojący. Nikt bowiem nie jest wszechstronnym. Biegłość w grze na instrumencie absolutnie nikogo dostatecznie nie umuzykalni, nie uczyni z nikogo inteligentnego, a tem mniej **wykształconego** muzyka. Dlatego uczenie dziecka przez prywatną siłę nauczycielską może mieć miejsce jedynie jako przygotowanie do nauki pobieranej następnie w szkole muzycznej i to w szkole poważnej. Inaczej bowiem wytwarza się zastęp **dyletantów** — jakże zbytecznych i szkodliwych dla sztuki!

„Tanie pieniądze" płacone prywatnym siłom, są kwotami wyrzucanemi przez okno. Jeśli zaś nauka w poważnym zakładzie muz. kosztuje nieco drożej, to pamiętać należy, że opłata ta uiszczona bywa nie za udzielanie nauki jednego przedmiotu — jak u nauczyciela prywatnego, ale **za całe planowe wykształcenie muzyczne, obejmujące obok nauki gry na instrumencie — szereg dodatkowych, a niezbędnych przedmiotów**, a między niemi — nauki solfeżu, zasad muz., harmonji, form, instrumentoznawstwa, historji muz., estetyki, akustyki, ćwiczeń praktycznych zespołowych, kameralnych i choralnych i t. d. pomijając przedmioty specjalne, jak kompozycja, dyrygowanie, metodyka i inne — udzielane uczniom, specjalizującym się w danym kierunku. Pomijam fakt, że konserwatorjum, czy poważna szkoła muzyczna powierza zasadniczo odpowiedni dział wiedzy i sztuki muzycznej możliwie najlepszemu pedagogowi, mającemu za sobą nietylko sukcesy na polu pedagogji, ale też zajmującemu w świecie wirtuozów czy kompozytorów wybitniejsze miejsce — podkreślić jednak muszę, że tylko całokształt wiedzy, ujętej programem nauczania i odpowiednio, w miarę rozwoju ucznia udzielanej — daje rękojmię — iż pieniądz przeznaczony na naukę muzyki — nie jest wyrzuconym za okno. A to przecież w dzisiejszych czasach jest bardzo ważnem!

Dlatego też w szeregu artykułów o koncertach i popisach uczniowskich starałem się możliwie dokładnie przedstawić wyniki nauczania w szkołach muzycznych, dlatego też i w dzisiejszym artykule pragnę zwrócić uwagę czytelników na to, że uczenie muzyki i kształcenie duszy na największem pięknie muzycznem jest koniecznem, pożądanem i wielce wskazanem, sposób jednak kształcenia, środowisko i jakość — bynajmniej nie są sprawami obojętnemi lub zgoła ubocznemi.

W. HAUSMAN

W pogoni za zerem

W chwili obecnej uczeni fizycy całego świata pracują intensywnie nad rozwiązaniem ciekawego i ważnego dla nauki problemu. Idzie mianowicie o osiągnięcie w laboratorjum najniższej możliwej temperatury —273°, czyli tzw. zera absolutnego.

Prace na tem polu prowadzone są w pięciu laboratorjach światowej sławy. Pierwsze miejsce zajmuje Uniwersytet w Leydzie, którego dwaj profesorowie odznaczeni zostali nagrodą Nobla z dziedziny fizyki. Byli to: profesor fizyki Lorentz, zmarły w roku 1920 za swe prace z dziedziny magnetyzmu i promieniowania ciał, — oraz profesor Kamerlingh - Onnes, zmarły w roku 1927, a nagrodzony za swe prace o właściwościach ciał w niskiej temperaturze.

Po śmierci Kamerlingh - Onnesa badania te prowadzi jego były uczeń, profesor Keesom.

W tym samym kierunku prowadzą badania i doświadczenia cztery inne laboratorja, a mianowicie: „Kaiser-Wilhelm - Institut" w Charlottenburgu koło Berlina, „Bureau of Standards" w Waszyngtonie, profesor Kapitza w Cambridge i prof. Mac Lennan w Kanadzie.

Największemi zdobyczami na tem polu pochlubić się może dotychczas profesor Keesom, który niedawno zdołał, po kilku latach żmudnej pracy, osiągnąć temperaturę absolutną 0° 71. Ale już wkrótce potem trzej jego współpracownicy, de Haas, Wiersma i H. A. Kramers pobili i ten rekord Keesoma, dochodząc kolejno do 0° 27, 0° 18, a ostatnio nawet do 0° 08, a więc niemal do granic zera absolutnego.

W doświadczeniach swych zastosowali oni nową procedurę, polegającą na specjalnej właściwości ciał tzw. „paramagnetycznych".

Co rozumiemy pod tem określeniem? Otóż jak wiadomo każde ciało nabiera pewnych właściwości magnetycznych z chwilą, gdy znajdzie się w obrębie tzw. „pola magnetycznego", czyli pod wpływem jakiegoś magnesu.

Ze względu na specjalny charakter tych właściwości magnetycznych dzielimy wszystkie ciała na trzy grupy:

1) Ciała „diamagnetyczne", które magnetyzują się negatywnie, tj. u których biegun południowych występuje naprzeciw bieguna południowego magnesu indukcyjnego, przez który w konsekwencji bywa odpychany.

2) Ciała „paramagnetyczne", magnetyzujące się pozytywnie, w których zatem biegun południowy występuje naprzeciw bieguna północnego magnesu indukcyjnego i zostaje przez ten ostatni przyciągany, i

3) **Ciała „ferromagnetyczne", magnetyzujące się również pozytywnie, ale w znacznie wyższym stopniu.**

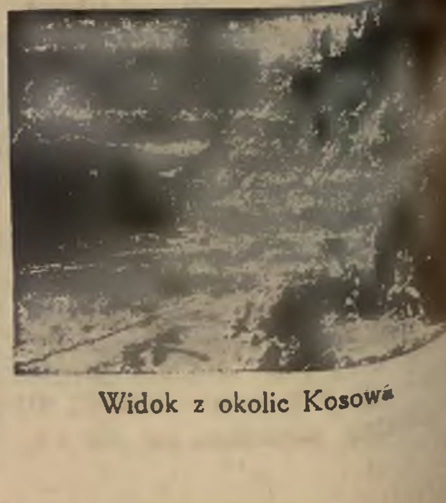
Do tych ostatnich ciał zaliczamy między innemi: żelazo, nikiel, kobalt, oraz ich aljaże; — do ciał paramagnetycznych należą: sól, potas, aluminjum, chrom, platyna, palladjum, dalej sole żelaza, niklu, kobaltu, chromu, miedzi, manganu, oraz niektóre gazy, jak tlen ozon, helium.

Doświadczenia wykazały, że ciała paramagnetyczne ulegają znacznemu oziębieniu z chwilą, gdy nagle obniży się napięcie pola magnetycznego. Tę właściwość wyzyskano właśnie w Leydzie, celem otrzymania temperatury zbliżonej do zera absolutnego. Do doświadczeń używa się rurki szklanej zawierającej fluorek cerium, a zanurzonej w skroplonem helium, oziębionem do 1° 26 powyżej zera absolutnego. Wspomniana rurka znajduje się w promieniu działania potężnego elektromagnesu, zdolnego wytworzyć pole elektromagnetycznego napięcia o sile 30 tysięcy gaussów.

Przez nagłe obniżenie napięcia magnetycznego z 30 tysięcy do 2.500 gaussów uzyskuje sie dalsze obniżenie temperatury ciała umieszczonego w szklanej rurce, a specjalne skomplikowane urządzenie pozwala na dokładne skalkulowanie uzyskanej temperatury.

Tą drogą doszli właśnie uczeni do temperatury 0,08, a więc niemal do samych granic zera absolutnego. I tak zostało rozwiązane jeszcze jedno zagadnienie, absorbujące umysły uczonych od szeregu lat.

(R.)



Widok z okolic Kosowa

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Bardzo praktyczny i elegancki shantung powraca znów do mody i cieszy się dużem powodzeniem.

— Oryginalnie a efektownie wygląda biała pikowa pelerynka, sięgająca do łokcia, przy czarnej popołudniowej toalecie z cloqué lub z tafty.

— Pończoszki nosi się naturalnie bardzo jasne, najchętniej gładkie matowe. Paryż lansuje jednak pończoszki w rozmaitych kolorach, dostosowanych do całego kostjumu. Widuje się nawet pończoszki koloru bleu-marine, cieniutkie, jak pajęczyna.

— Torebki naogół duże, w jasnych kolorach. Torebki sportowe przypominają kształtem torby szkolne dzieci i są ze skóry krokodylej. Torebki popołudniowe mają kształt silnie wydłużony są natomiast znacznie węższe. Modne są torebki z lnianej przędzy, bardzo praktyczne.

— Na skromne sukienki płócienne lub wełniane aplikuje się groszki wycinane ze skóry lub linoleum. W ten sposób ożywiamy najskromniejszą nawet suknię.

— Suknie letnie oczywiście w kolorach jasnych, — przyczem obok białego największem powodzeniem cieszy się kolor popielaty i błękitny. Z nowszych kolorów wymienić należy: fioletowy we wszystkich odcieniach, dający bardzo ładne efekty, — oraz bursztynowy, jasny i ciemniejszy, specjalnie odpowiedni dla brunetek.

— Najodpowiedniejszym, praktycznym, tanim, a ładnym materjałem na sukienki sportowe i spacerowe jest len. Najładniej wygląda sukienka lniana w kolorze naturalnym, przybrana na szyi i na rękawach szlakiem barwnego haftu. Do ożywienia całości przyczyniają się duże guziki i paski w kolorach żywych jaskrawych nawet.

— Na plażach pyjamy ustępują miejsca praktyczniejszym sukienkom plażowym, zapinanym na guziczki.

— Rękawiczki przeważnie białe jedwabne z haftowanemi manszetami. Dużo też rękawiczek z tiulu, organdi i koronek.

— Papużki i motyle, — to najnowsze desenie na materjałach imprimé.

Pod znakiem wstążek



Obok kwiatów i koronek stanowią obecnie wstążki jeden z najmilszych i najefektowniejszych atrybutów dzisiejszej mody.

O niesłychanie rozległej skali ich stosowania daje wyobrażenie powyższa ilustracja.

KĄCIK KOSMETYCZNY

Kosmetyka na wsi

Z chwilą wyjazdu na wywczasy letnie trzeba sobie powiedzieć jasno i otwarcie, że ten nasz pobyt na łonie przyrody winien być kompletnym wypoczynkiem dla umysłu i dla ciała.

Zostawiamy w mieście wszystkie troski i drobne codzienne kłopoty i zmartwienia, — wszystkie wizyty, ploteczki... nie chcemy o niczem myśleć, nie chcemy zaprzątać sobie i męczyć umysłu żadnemi sprawami. Absolutny wypoczynek — dolce far niente.

Tożsamo i w tym samym stopniu zastosować należy i do ciała: zostawmy na toalecie wszystkie kremy, pudry, szminki, zapomnijmy o „maquillage'u".

Cały nasz arsenał kosmetyczny, to dobry krem lub olejek, zabezpieczający nas przed zbyt silnem działaniem słońca. A resztę zrobi: słońce, woda i powietrze. Niechaj i skóra nasza wypocznie, nabierze zdrowej barwy, oddy cha swobodnie!

A jeśli już koniecznie chcemy oczyścić skórę twarzy i rąk, — to mamy na wsi doskonałe, niezawodne a tanie kosmetyki: obmywanie twarzy rano i wieczór świeżem mlekiem „prosto od krowy", co znakomicie wydelikatnia cerę. Równie polecenia godnem jest obmywanie twarzy sokiem wyciśniętym z ogórków, — względnie przeciąganie po twarzy i szyi cienkiemi świeżo ukrajanemi płatkami ogórka.

Przed wyjściem na słońce dobrze jest nasmarować twarz delikatnym olejkiem migdałowym.

Prosta ta, tania a nieskomplikowana kosmetyka daje wspaniałe wyniki: wrócimy do miasta opalone, ze zdrową, świeżą cerą... „z buzią jak malina"...

Letnie kapelusze

Wybór ich jest ogromny, fasony i materjały najrozmaitsze.

A więc: zgrabny kapelusik sportowy z jasnego filcu lub białej piki, z rondem nasuniętem na oczy.

Dalej rodzaj toczka, nasuniętego kokieteryjnie „na bakier", odsłaniającego całą połowę twarzy. Takie „półkapelusiki" robione są często całe z kwiatów.

Słomkowe kapelusze o szerokiem rondzie i minjaturowej główce, przyozdobionej u szczytu wstążką.

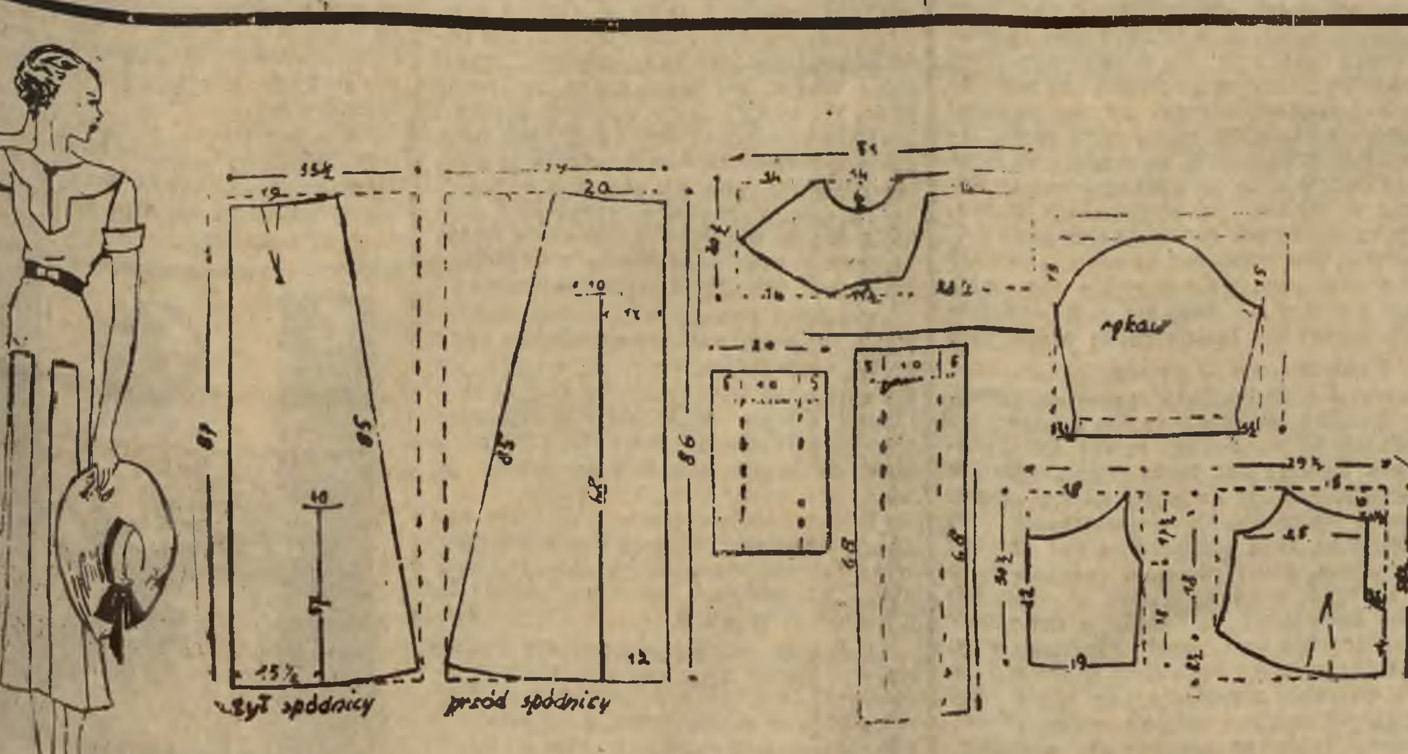
Dużo kapelusików płóciennych, przyczem rondo bywa często w innym kolorze niż główka.

Wreszcie zgrabniutkie „kapłinki" tiulowe, odpowiednie na wyścigi, zebrania, wizyty. Najczęściej używa się do tego celu czarnego tiulu usianego w drobne białe groszki.

Naogół kapelusze w jasnych kolorach: białe, żółtawe, złociste, bladoróżowe lub niebieskie. Do sukien letnich w desenie kwiatowe nieodzownym jest kapelusz słomkowy o szerokiem rondzie, przybrany kwiatami.

HINDUSKI W UNIWERSYTETACH

Jak donosi Biuletyn Rady międzynarodowej kobiet, liczba Hindusek, studjujących na uniwersytecie w Bombaju, doszła do 1306.



Podajemy dziś model i krój zgrabnej letniej sukienki, odpowiedniej na wycieczki czy na wyjazd do letniska.

Potrzeba na nią 3 i pół mtr. materjału szerokości 0.80 lub na 1 mtr.

Poradnik dla gosposi

ORANŻADA

Na szklankę wody dać dwie łyżeczki cukru, sok z pół pomarańczy i jeden plasterek tejże. Tak przygotowany płyn wlać do ładnego, szklanego naczynia, wstawić w lód na dwie godziny, a następnie podać.

KAWA MROŻONA

Na trzy szklanki gotującej się wody wziąć dziesięć deka jaknajbardziej zmielonej kawy w dobrym gatunku i zaparzyć. Do przecedzonej i sklarowanej kawy wsypać 40 dkg. cukru. Do trzech szklanek gęstej, kremowej śmietanki, ubitej na pianę, wlać, ciągle ubijając, osłodzoną i ostudzoną kawę, następnie wlać do puszki od lodów i kręcić, aż zacznie gęstnieć, wówczas zaraz podawać.

LODY ŚMIETANKOWO-WANILJOWE.

12 żółtek ubić z 45 dkg. cukru do białości. Zagotować sześć szklanek niezbieranego mleka z laseczką wanilji i wlawać do żółtek, ciągle mieszając. Postawić na blachę i ciągle mieszając, ogrzać do należytej gęstości. Wystudzić, również mieszając, w zimnem miejscu, przecedzić do formy i kręcić.

LODY CYTRYNOWE

75 dkg. cukru w kawałkach otrzeć o cztery cytryny, dać go do rondla, wycisnąć na ten cukier sok z sześciu cytryn, dodać półtory kwaterki białego wina, pół kwarty wody i ogrzewać na ogniu, aby się cukier rozpuścił. Oziębić w puszce do lodów i zamrażać jak zwykle.

Na nowych torach twórczości radjowej

Przed prapremjerą radjokomedji muzycznej prof. W. Hausmana

Mało jest rozrywek, łączących w sobie „piękne z pożytecznem". Jedne są piękne ale do pożyteczności im daleko, drugie znowuż jeśli uchodzą za pożyteczne — przestają być uważane za piękne. Zastosować to można do bardzo wielu przyjemności naszego życia; ale twierdzenie to upada wobec przyjemności opartych na doznaniu intelektualnem, jak np. **książki, teatr, radjo.** W książkach możemy znaleźć wszystko, o czem zamarzymy, zależnie naszych upodobań: naukę, wiedzę, zadowolenie estetyczne, przyjemność; w teatrze — mamy już możliwości trochę zmniejszone, choć również dosyć wielkie. **Wzrastają one natomiast bardzo znacznie w radjo. Daje ono swym słuchaczom do wyboru począwszy od poważnych, naukowych prelekcyj, stopniowo coraz lżejsze, aż do najpopularniejszych.**

Mniej więcej taka sama jest linja programu muzycznego. Dla znawców koncerty symfoniczne, transmisje z warszawskiej Filharmonji, z La Scali; koncerty popularne dla „słuchaczy chętnych" i wreszcie — dla szukających wypoczynku, rozrywki — muzyka lekka, operetka z płyt czy ze studja.

O tej ostatniej, tj. o operetce ze studja napiszę parę zdań. Jak dotąd, wszystkie operetki były pisane przez swych twórców dla sceny, z myślą o pięknej wystawie, strojach, dekoracjach, baletach. A więc chcąc którąś z nich nadać przez radjo, należało wpierw ją odpowiednio zradjofonizować, t. zn. skrócić, tak powiązać i dostosować do radja, by słuchający orjentowali się „na niewidzianego" w treści i osobach w danej chwili występujących. Praca taka jest dość uciążliwa i niezawsze dająca dobre rezultaty, tembardziej, że nie każda operetka nadaje się do przeróbki radjowej. A do niedawna nie było jeszcze kompozytorów tworzących specjalnie dla radja.

Do niedawna — bo w lwowskiej rozgłośni zaledwie od paru dni trwają w pełnym toku próby pierwszej radjowej operetki, czy może raczej komedji muzycznej, pióra Wiktora Hausmana. Jest to jeden z nielicznych w Polsce autorów, piszących rzeczy oryginalne, z przeznaczeniem wystawienia ich w radjo; a jedyny jako twórca pierwszej radkomedji. Nosi ona tytuł „Główna wygrana" i zostanie nadaną 2. lipca, o godz. 21-ej, ze studja lwowskiej rozgłośni.

Prof. Hausman jest zaprzysiężonym wrogiem tang, ale też niema ich w tej komedji, są natomiast foxtroty. Słowa piosenek pisała ceniona tłumaczka i autorka Janina Gillowa; jest ona z pod znaku rzadko dziś spotykanych jednostek, dbających nietylko o sens, ale również o rytm i akcent tekstów śpiewanych. Reżyseruje niezawodny „spec od mikrofonu" Wiktor Budzyński.

Jak mnie uprzejmie w miłej pogawędce poinformował prof. Hausman, w „Głównej wygranej" czołową partję śpiewa Walerja Jędrzejowska, młoda, pełna werwy, życia i talentu lwowska śpiewaczka. Obok niej grają Wlada Majewska, Józef Wieszczek (znani z występów w „Wesołej Fali") i in.; orkiestra jest w składzie 10-ciu osób, bez rozjęczanego saksofonu.

Rozmawiamy ponadto o całokształcie **radjowej twórczości prof. Hausmana.**

Poraz pierwszy nawiązł on kontakt z radjem w 1930 r. Nadano wtedy audycję muzyczno-słowną **„Listopadowe pieśni"** z melorecytacjami **Kielanowskiego.** W niedługi czas potem poszło pierwsze gwarowe słuchowisko **„O zwyrtałowej muzyce"** w/g Tetmajera z ilustracją muzyczną prof. Hausmana, opartą na motywach góralskich. Wkrótce nadano dalsze **cztery słuchowiska**, z których najlepsze **„Boruta"** i **„Pan z Krzemionek"**; tu nawiasowo dodam, że do ich wystawienia w radjo walnie przyczyniła się życzliwość i pomoc, okazana autorowi tych audycyj, ze strony **J. S. Petry'ego**, dyrektora rozgłośni lwowskiej.

Widzimy więc, że mój rozmówca należy do bardzo **czynnych i twórczych** pisarzy, co jest tem bardziej godne podziwu, iż sam opracowuje i **stronę literacką i stronę muzyczną** swych kompozycyj. Dowiaduję się również, że warszawski wydział słuchowiskowy ma u siebie **złożone dwa dalsze** — **wyróżnione** na niedawnym konkursie - słuchowiska „Wincenty z Szamotuł" i **„Niesamowite zaloty".** To drugie zaciekawia mnie swym tytułem, pytam więc o jego treść.

Rozgrywa się ono na przestrzeni dwustu lat, w piekle i na ziemi, wśród djabłów i ludzi; dużą rolę odgrywa w niem... Lwowianka. Potraktowane humorystycznie i bardzo oryginalnie, będzie bezwątpienia interesującą audycją.

Dopiero w planie — który napewno kiedyś urzeczywistni — prof. Wiktor Hausman ma napisanie radjo-opery; żegnając się, odczuwam wielkie zadowolenie, iż to właśnie we Lwowie żyje i tworzy autor, jakiego może nam pozazdrościć — Warszawa!

IRENA NAŁĘCZ.

Powrót „Wesołej Fali"

Po dłuższej przerwie, spowodowanej żałobą narodową, popłyną znów niezadługo z radjostacji lwowskiej dźwięki „Wesołej Fali". Począwszy od dnia 7. lipca b. r. będziemy znów stale co niedzielę słuchali wesołych piosenek, żartów, skeczów, djalogów... Odnowimy naszą starą znajomość z kochanym Szczepkiem i Tońkiem, którzy niewątpliwie będą nam mieli dużo do powiedzenia. Usłyszymy parę domorosłych „filozofów": Aprikosenkranza i Untenbauma.

Popłynie „Wesoła Fala" na wszystkie strony świata: do Kołomyi i Worochty, do Gdyni i Pucka, do Wilna i Białegostoku, do Torunia i Katowic... A dobiegnie i dalej, poza granice Polski, gdziekolwiek tylko znajdują się większe czy mniejsze skupienia naszych rodaków.

Wszędzie oczekiwana, wszędzie jednako mile witana i chciwie słuchana...

• • •

„Wesoła Fala" — audycja „lekka", wedle przyjętej nomenklatury. Ma ona jednak swój ciężar gatunkowy, i to wcale znaczny. Mimo swej „lekkości" audycja to niemal reprezentatywna dla Lwowa i lwowskiej rozgłośni, której nadaje odrębny, specjalny charakter.

Tutaj zrodzona, tu tylko bujnie rozwijać się może. I nie lęka się żadnej konkurencji. Boć przecież nawet s i d u o f a c i u n t i d e m, n o n e s t i d e m... I niepodobna przenieść „Wesołej Fali" do Warszawy, Krakowa czy Wilna: zmarniałaby, jak kwiat przesadzony na obcy, jałowy grunt, z którego nie może czerpać soków żywotnych.

Bo tkwi ona korzeniami we Lwowie, w jego specyficznym regjonaliźmie, a humor i wesołość, to jej atrybuty, możliwe do pomyślenia tylko w tem właśnie środowisku.

• • •

Powiedziałem „audycja reprezentatywna". Czy nie za śmiałe określenie? Czyżby Lwów nie mógł zdobyć się na coś większego, poważniejszego, więcej wartościowego?

Otóż nie! Mamy znakomitych prelegentów, mamy doskonałe audycje naukowe, historyczne, społeczne, artystyczne. Mamy najlepszy może w Polsce kwartet i orkiestrę symfoniczną. Mamy śpiewaków, muzyków. Na żadnem polu nie ustępujemy stanowczo innym miastom i radjostacjom, co stwierdzić trzeba, ku chwale tego Lwowa, stale od dłuższego czasu postponowanego i spychanego do rzędu prowincjonalnej „dziury".

Ale wszystko to samo w mniejszym lub większym stopniu, znajdziemy i w Krakowie i w Poznaniu i we Wilnie czy Katowicach.

Natomiast „Wesoła Fala" jest tylko jedna: lwowska. I tylko jeden jedyny lwowski folklor i lwowski humor, — ten szczery, pogodny, beztroski, płynący z serca i do serca. A ma Lwów tego humoru tyle, że może nim obdarować całą Polskę, bez uszczerbku dla siebie.

Że zaś z reguły w ramach „Wesołej Fali" omawia się i naświetla odpowiednio we formie lekkiej, humorystycznej czy satyrycznej, aktualne problemy społeczne, — to już zasługa kierownictwa tych audycyj. I ten moment zasługuje na osobne podkreślenie.

• • •

Czekamy tedy niedzielnej „Wesołej Fali". Czekamy jej nietylko tu we Lwowie, nietylko w Polsce. Niewątpliwie napływać będą do lwowskiej radjostacji — jak to zawsze dotąd bywało — listy od naszych rodaków z Niemiec, Francji, Rosji sowieckiej, Rumunji, Czechosłowacji... Listy miłe, ze słowami uznania i podzięki.

Niechajże one będą bodźcem dla kierownictwa „Wesołej Fali" do dalszej owocnej pracy, do dalszego doskonalenia się! Idzie o prestiż nietylko samej „Fali", nietylko radjostacji lwowskiej, ale i całego Lwowa!

(LUCY).

Czy brać radjo na wakacje?

Jedziemy na wakacje. Musimy zmienić zupełnie tryb życia, zrzucić z siebie skórę mieszczucha, zapomnieć o biurze, kawiarni, kinie, sąsiedzkich i biurowych plotkach. Wszystko to zostawiamy w mieście. Czy radjo zostawić też?

Chyba zostawić. Po pierwsze zanadto przypominałoby nam ono nasz pokój w kamienicy, w którym go codzień słuchaliśmy. Poco głos, płynący z głośnika wywoływać ma wspomnienie o tych czterech ścianach, wśród których upływa nam większa część roku. Po drugie: naco nam radja, kiedy na wsi choćby na miesiąc zerwać chcemy kontakt ze wszystkiemi sprawami, których mamy dość przez jedenaście miesięcy. A wreszcie: czy wogóle będzie czas na słuchanie radja? Kąpiele w wodzie i w promieniach słońca, wycieczki, tennis, może czasem małe polowanie, lub wyprawa na ryby — kiedyż tu w tym bogatym programie dnia znajdzie się czas na program radjowy? Gazety nawet nie będzie czasu przeczytać.

Rozumowanie — zdawałoby się — logiczne. Ale nie braliśmy w niem pod uwagę przedewszystkiem jednej rzeczy: nie codzień świeci słońce, nawet na wakacjach. Bywają dni, kiedy deszcz leje, jak z cebra, a drogi w najpiękniejszej nawet wiosce zmieniają się w rzeki błota. Psa grzech na dwór wypędzić, a cóż dopiero człowieka, który nie poto przyjechał na wieś, by nabawić się kataru, chrypki, lub broń Boże grypy. Co robić w takie dni?

I jeszcze o jednem zapomnieliśmy. Ludzie, których uważaliśmy w mieście za tak dobrych znajomych, że zgóry wiedzieliśmy, o czem wogóle mogą mówić, zmieniają się na wsi nie do poznania. Pan X., którego interesowała we Lwowie tylko polityka, sprawia nam w Zimnej Wodzie, czy w Hrebenowie miłą niespodziankę, rozmawia o poezji, teatrze, podróżach. Poprostu nie ten sam człowiek.

Nasz stary znajomy, program radjowy, też zmienił się na okres wakacyjny. Rzeczy poważne zostawił sobie na zimę, wprowadził wiele nowości, a ze starych audycyj zatrzymał te, które na wsi napewno się przydadzą. Weźmy choćby poranną gimnastykę. Ilu z nas czyniło w mieście to, co kpt. Dobrowolski czynić przykazywał? Z głośnika padała komenda: „w rozkroku wymach ramion wprzód i wzwyż", lub „z krokiem ukłon japoński, poczem wyprost i skłon w tył", a my... szukaliśmy spinki do kołnierzyka, lub pośpiesznie łykaliśmy kawę, myśląc: „gadaj sobie zdrów, nie mam czasu, za chwilę pędzę do biura". A na wsi będzie czas i znajdzie się koło domu ogród, lub łąka, gdzie można będzie na trawie, w promieniach słońca, robić na komendę z głośnika przysiady, podskoki, rozkroki i rozkłęki, by po miesiącu codziennych takich wyczynań wrócić do miasta z mięśniami stalowemi, lub choćby tylko żelaznemi.

Rozmaite bywają wsie i rozmaite letniska. Przyjdzie nam ochota kląć na miejscowe porządki, dowiemy się z radja, jak się sprawy przedstawiają w dziesiątkach innych letnisk. Może nas to pocieszy w myśl przysłowia: „wart Pac pałaca", a może da impuls do żądania zniżki od właścicieli pensjonatu, czy chaty.

Będzie nam niewyraźnie na ciele, czy duszy, usłyszymy Wesołą Lwowską Falę, wesoły skecz warszawski, aktualny monolog, lub audycję „Świat się śmieje" — a humor się poprawi.

Jadąc na wakacje, chcieliśmy zaszyć się w wiejską ciszę, zerwać kontakt ze światem. Ale z jakim światem? Tym, który codziennie mieliśmy przed oczyma, nie tym, którego nie znamy. A radjo — właśnie nam to — dawać nam będzie bardzo wiele audycyj z szerokiego świata. Usłyszymy szereg reportaży z samolotów, migawki z podróży autobusem. Wraz ze sprawozdawcami radjowymi odbędziemy wędrówkę wzdłuż granic Polski i ramię w ramię z autorami feljetonów z cyklu „Podróżujmy" udamy się w podróż po krajach mniej lub więcej egzotycznych.

A czy można żyć bez muzyki? Piękny jest szum lasu, ćwierkanie koników polnych, popisy chórów żabich, lecz chętnie posłuchamy też chóru Eryana, czy Eschena, lub zatańczymy przy dźwięku dobrej orkiestry radjowej. A jeżeli nie wyruszymy z domu między godziną szóstą a siódmą wieczorem, będziemy mogli w kilka osób brać udział w audycjach „Cała Polska śpiewa". Rozrywka nie gorsza od gry w karty, czy ping-pong, a może pożyteczniejsza.

A więc? Chyba nie wyrzekniemy się radja na okres wakacyj. Pakując walizy i toboły, znajdziemy w nich trochę miejsca i dla swego starego przyjaciela, radjowego aparatu.



HOLLYWOOD, A PIEGI

Tysiączne rzesze czytelniczek i czytelników „Kina" dowiedziały się ze zdziwieniem, że ulubiona, piękna gwiazda Hollywoodu Myrna Loy jest piegowatą, że twarzyczka tej przepięknej star jest pokrytą złotemi plamkami, które zmuszają ją do umiejętnego maquillageu przed zdjęciami, dla uchronienia tego szpecącego błędu piękności przed okiem krytycznego widza. A zatem i dumnego Hollywoodu nie oszczędziła ta nowoczesna plaga pięknych pań. Piegi są uporną zmorą tysięcy żądnych kąpieli słonecznych, zmuszonych do osłaniania się parasolką przed zabójczem dla urody, a tak pożądanem dla zdrowia żądłem ultrafioletowych promieni słonecznych.

Ostatnio stwierdzają instytuty kosmetyczne znaczny spadek procentowy osób piegowatych. Czemu to przypisać? Otóż nowoczesna medycyna i chemja stojące na usługach nowoczesnej i racjonalnej kosmetyki, znalazły szereg środków kosmetycznych ochronnych, wśród których wybija się na pierwszy plan „krem i mydło Lesznicera" wyrób krajowy znanej firmy Aptekarz Drancz i Ska w Bielsku — do nabycia we wszystkich aptekach i drogerjach.

Niejedna z pięknych czytelniczek „Kina" używająca tego skutecznego środka, pomyśli o pięknej Myrnie Loy, że na jej miejscu wiedziałaby co czynić, by bronić się przed piegami. (x)